Rok II. Marzec 1917. Nr. 3.

ROK POLSKI

CZASOPISMO POSWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO.

WYCHODZI W KRAKOWIE RAZ NA MIESIĄC.

WYDAWCA i REDAKTOR: PROF. Dr. *AUGUST BALASITS.*

TREŚĆ.

Prenumerata za jedno półrocze kor. 9. — Cena numeru pojedynczego 2 korony (2 marki). — Prenumeratę przyjmuje Bank Oszczędnościowy w Krakowie, Mały Rynek 4. — Czek P. K. O. 139.429.

Adres administracyi: Ulica Mikołajska 13, Drukarnia Związkowa. — Zastępstwo na Rzeszę niemiecką: Księgarnia M. Niemierkiewicza w Poznaniu.

Redakcya otwarta w czwartki od godz. 5—6 popoł., ul. J. Dunajewskiego 1, I. p.

DRUKARNIA ZWIĄZKOWA W KRAKOWIE, MIKOŁAJSKA 13.

Marzec 1917. ROK POLSKI Rok II. Nr. 3.

Koła polskie w parlamentach obcych.

W miarę, jak w różnych państwach rozbiorowych ustalał się ustrój konstytucyjny, dla przedstawicieli dzielnic Polski otwierało się pole pracy prawodawczej i sposobność mniej lub więcej skutecznej obrony praw narodowych. To wszystko jednak trzeba było okupywać kompromisami z istniejącym porządkiem, brać za podstawę istniejący ustrój, choćby się go uważało za bezprawie. Wspólność państwowego organizmu działała zwolna ale skutecznie i na tym terenie, wciągając podzielone części Polski ku środkowi obcych państw. Gdy jednak rzucimy okiem na działalność naszego przedstawicielstwa parlamentarnego w trzech częściach Polski, gdy przytem pominiemy drugorzędne, przypadkowe objawy a wzrok skupimy na zasadniczej linii politycznej, to dojdziemy do wniosków dość optymistycznych. Przedstawicielstwa polskie umiały na ogół godzić konieczne kompromisy z postulatami zasadniczej polityki narodowej. Były błędy, były wahania i zaniedbania, ale nie było czynów, któreby pozostawały w sprzeczności z poczuciem przynależności do jednego wielkiego narodu, któreby świadczyły o tem, że żywioł polski wchłania bezwzględnie obca państwowość.

To zasadnicze narodowe stanowisko uwydatnia się przedewszystkiem w organizacyi przedstawicielstwa polskiego. Organizacya ta jest organizacyą n a r o d o w ą i przynależność narodową bierze za punkt wyjścia. Czy w Berlinie, czy w Wiedniu, czy w Petersburgu — wszędzie powstaje Koło Polskie, które chce występować jako solidarny klub parlamentarny, skupiający ogół polskich posłów i broniący polskich interesów. Były jednostki, którym temperament nie pozwolił na krępowanie się węzłami solidarności koła, były nawet stronnictwa, niegodzące się na tę solidar-

ność — ale to wszystko były przelotne wyjątki. Idea solidarności Koła Polskiego zwyciężyła wszystkie wątpliwości i rozłamy partyjne. Zatryumfomała ostatecznie w zaborze austryackim w ciągu obecnej wojny, gdy posłowie socyalno-demokratyczni wstąpili do Koła Polskiego, spełniając tem samem nareszcie swój elementarny narodowy obowiązek. Im trudniejsze były warunki działania dla przedstawicielstwa narodowego, tem bezwzględniej pojmowano nakaz solidarności polskiej. Tak np. w r. 1853 posłowie polscy do Sejmu pruskiego sformułowali ten obowiązek w sposób bardzo stanowczy. Oto ich zebranie doszło do następujących zasadniczych wniosków: „zważywszy, że solidarność bezwarunkowa Koła Polskiego nic innego nie ma na celu, jak tylko utrzymanie odrębności naszej narodowej w sejmie berlińskim; zważywszy, że przypuścić nie można, aby jakikolwiek Polak niewyrodny, mógł być dla niej obojętnym, albo jej przeciwnym; że przypuszczenie rozstrząsania takiego dogmatu wiary narodowej jużby było niejako powątpiewaniem o jego nieomylności, oświadczyło się zgromadzenie za przejściem do porządku dziennego“. Coprawda nie dla wszystkich potem ten dogmat był nieomylnym dogmatem, ale przelotne odchylenia nikną w dziejowej perspektywie, a pozostaje niewzruszona solidarność Koła Polskiego, jako zasadnicza podstawa naszej działalności w ciałach parlamentarnych państw zaborczych.

Utrzymanie solidarności klubowej Koła dawało zawsze bezpośrednio korzyści w grze parlamentarnej. Jednolity klub o większej liczbie członków znaczył zawsze więcej, aniżeli kilka klubów razem wziętych, choćby one reprezentowały w sumie znaczniejszą liczbę głosów. Wywierać wpływ na ustawodawstwo i administracyę można tylko wtedy, gdy się reprezentuje pewną stałą siłę, której można użyć każdej chwili. Doraźne porozumienia nie są w stanie zastąpić stałej organizacyi poselskiej. To też np. w wiedeńskiej Radzie państwa Koło Polskie zawdzięczało swój wielki wpływ (z przykrością musimy o tem mówić w czasie przeszłym) przedewszystkiem bezwzględnie przestrzeganej solidarności. Jakkolwiek będziemy się zapatrywali na skład partyjny i taktykę Koła, to nie możemy zaprzeczyć jego wielkiego znaczenia, co zresztą powszechnie uznali obcy świadkowie.

Nie wszędzie jednak nasze przedstawicielstwo było tak liczne i tak zorganizowane, by dzięki sprzyjającym okolicznościom mogło wywierać istotny wpływ na bieg spraw parlamentarnych. Prze-

ważnie nawet jego rola ograniczała się do protestowania przeciw zakusom wrogiej, obco-narodowej większości. W tych wypadkach jak i wogóle we wszelkich innych solidarność Kół Polskich miała inne, bardzo doniosłe znaczenie, choć tylko moralnej natury. Polacy, znalazłszy się w parlamentach państw zaborczych, godzili się prowizorycznie z danym stanem rzeczy, brali za punkt wyjścia istniejący porządek prawny, ale przez wytworzenie osobnej organizacyi parlamentarnej, solidarnej na zewnątrz, manifestowali swoją obcość i odrębność wobec tych ustrojów. Solidarność Koła Polskiego wyrażała tę głębszą myśl, że naród, pozbawiony własnego państwa i rządu, musi w swojej politycznej organizacyi stwarzać jego surogaty; musi sam czuwać nad utrzymaniem wewnętrznej jedności duchowej i materyalnej i dlatego w stosunku do obcych występować jednolicie. Na gruncie życia parlamentarnego główną podstawą ugrupowania staje się wspólność narodowa, a nie różnice partyjne i społeczne poglądy.

Formalna kompetencya Kół Polskich w parlamentach obcych sięgała tylko tak daleko, jak daleko sięgały granice dzielnicy, z której pochodziło przedstawicielstwo. Nie mogło ono mieszać się w sprawy pozostałych części Polski, ani też nie mogło wpływać na bieg wydarzeń w innych państwach. To jednak nie przeszkadzało temu, by partykularna polityka jednego zaboru nie była owiana myślą o sprawie całego narodu. Przytem były takie sprawy jednych dzielnic, co do których inne nie mogły zachować milczenia; przykładem jest sprawa wywłaszczenia, przeprowadzona w pruskim sejmie, na które Koło Polskie w parlamencie wiedeńskim odpowiedziało znaną manifestacyą. Poczucie wspólności narodowej, ścisłej łączności całego narodu nieraz znajdowało swój wyraz w wystąpieniach zewnętrznych naszych posłów. Akcentował je mocno na gruncie wiedeńskim najwybitniejszy z pośród polskich przedstawicieli parlamentarnych, Franciszek Smolka. W zaraniu parlamentaryzmu w Austryi, na posiedzeniu Izby prawodawczej z dnia 19. czerwca 1861 oświadczył wyraźnie, że zawsze uważamy Polskę, chociaż rozdartą, za jedną jednolitą całość i myśl tę szerzej rozwinął w tych słowach: „uważałbym się za wyrodnego syna ojczyzny mojej, niegodnego, aby noga moja stanęła znowu na ziemi ojczystej, gdybym na chwilę tylko wahał się oświadczyć, że wspomnienie wielkiej przeszłości naszej, dziejów naszych... obudza w nas uczucie, że wszyscy na tej ziemi zamieszkali należymy

do siebie, że zarówno nie możemy nie mieć współczucia dla naszej braci nad Wisłą i Wartą, jak nie możemy nie czuć, jeżeli kto skaleczy jedną żywą część ciała naszego".

Ta sama idea w różnych postaciach przewija się przez całą działalność naszego przedstawicielstwa we wszystkich zaborach. Czasem występuje wyraźniej, a czasem słabiej, na chwilę jednak nie znika zupełnie. I obecna chwila znów w stanowczej postaci wydobywa ją na powierzchnię naszego życia. Przedstawicielstwo nasze z nad Warty, jakby z wdzięczności za przeszłość, za dawne akcenty w działalności przedstawicielstwa galicyjskiego (za teraźniejszość też chciałoby być wdzięczne) — mówi głośno i wyraźnie z trybuny parlamentarnej to samo, co mówił Smolka: jeden jest naród polski i niepodzielny... Echo tych słów rozbrzmiewa po całej polskiej ziemi, biegnie daleko na wschód i potężnym oddźwiękiem odzywa się nad Newą, gdzie posłowie polscy śmiało akcentują swoją odrębność na obcym gruncie i manifestują swoją solidarność z innemi dzielnicami.

Przedstawicielstwo nasze w różnych obcych parlamentach, przez to, że prowadziło realną pracę, musiało brać za punkt wyjścia istniejący porządek prawny. A ten porządek prawny nie znał kwestyi polskiej, przynajmniej według wyobrażeń tych, którzy czuwali nad jego zachowaniem. Chciał on rozbić całą tę sprawę na czysto lokalne problemy narodowościowe i społeczne, zrobić z niej „wewnętrzne" zagadnienie. Trudna była walka z tym poglądem wtedy, gdy sytuacya w polityce międzynarodowej nie budziła nadziei zmiany, gdy starannie czuwano nad tem, by nie pojawiło się widmo sprawy polskiej. Niemniej jednak nasi posłowie w różnych miejscach i przy różnych sposobnościach czuwali nad tem, by zaznaczyć międzynarodowy charakter tej sprawy; podkreślali oni, że prawa nasze opierają się szerszych podstawach, aniżeli te, które im wyznaczało ustawodawstwo jednego lub drugiego państwa. Punktem wyjścia dla tych wywodów było stanowisko Kongresu wiedeńskiego. Jakkolwiek ten Kongres sprawy polskiej nie rozstrzygnął w sposób dostateczny, to niemniej jednak uznał nasze prawo do narodowego życia i do narodowej reprezentacyi we wszystkich trzech dzielnicach i dał tej idei swoją międzynarodową sankcyę.

Posłowie polscy w pruskim Sejmie powoływali się bardzo często na skąpe zresztą obietnice Kongresu wiedeńskiego — zwła-

szcza w tych czasach, gdy powoływanie się na prawo zdawało się mieć większe znaczenie. Gdy w r. 1849 zorganizowało się Koło Polskie posłów do Sejmu pruskiego, wtedy jako pierwszy swój cel wymieniło ono „obronę praw narodowych W. Ks. Poznańskiego, zagwarantowanych traktatami wiedeńskimi i poręczeniami królewskimi“. Na jednym z pierwszych posiedzeń Sejmu dnia 2. października 1849 r. w imieniu posłów polskich ks. Janiszewski postawił wniosek, żądający dla W. Ks. Poznańskiego osobnego statutu organicznego w myśl uchwał Kongresu wiedeńskiego. Uzasadniając wymownie ten wniosek, powiedział: „Prawo, o które dopominamy się tutaj, jest prawem bytu, istnienia, prawem, którego człowiek dać nie może, a zatem i odbierać nie powinien. Żeśmy Polakami, nie jest to łaska kongresów, traktatów, ale darem bożym. Będziemy nimi i nadal, bo do tego upoważnia nas prawo boże. Jesteśmy Polakami; w tej indywidualności narodowo żyć i rozwijać się możemy; poza nią siły nasze ustają, poza nią jesteśmy niczem“. Przedtem jeszcze wyszła w języku niemieckim broszura, opracowana przez Augusta Cieszkowskiego, zawierająca obszerne prawnicze uzasadnienie roszczeń narodowych polskich, opartych na uchwałach Kongresu wiedeńskiego. Między innemi August Cieszkowski podkreślił znaczenie tych postanowień Kongresu wiedeńskiego i późniejszych układów między państwami, które sankcyonowały jedność gospodarczą ziem polskich, zapewniając wolny obrót produktów rolnych i przemysłowych na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. Jego zdaniem były one zapowiedzią Związku celnego i przyszłego tych ziem połączenia. Gdy w niedługi czas potem deputowani polscy złożyli mandaty do Sejmu pruskiego i, zaszczyceni zaufaniem wyborców, do Sejmu wrócili, to wtedy ogłosili swoje zasadnicze oświadczenie, w którem powołali się na to, że „żaden jednostronny dokument polityczny nie ma prawa ani mocy, znosić ogólne międzynarodowe uchwały“. I w latach późniejszych nieraz toczyła się w pruskim Sejmie dyskusya, w której silnie podkreślono ze strony polskiej międzynarodowe znaczenie sprawy polskiej.

Rzecz niezmiernie charakterystyczna, że ta sama nuta zabrzmiała w zupełnie innych warunkach i w innem miejscu. W roku 1906 zebrała się pierwsza Duma państwowa w Rosyi. Do władzy doszedł w niej doktrynerski liberalizm kadetów, którzy chcieli daleko sięgających reform, ale dla spraw narodowych nie mieli

zrozumienia. Stali na stanowisku centralistycznem, przeciwni byli akcentowaniu odrębności narodowych. Posłowie polscy nie chcieli dostosować się do tego nastroju. Zamiast deklamacyi radykalnych frazesów, któreby mogły znaleść poklask w Dumie, woleli w swych oświadczeniach podkreślić swoje odrębne narodowe prawa. Zamiast podniecać rewolucyjnie nastrojone uczucia, odwołali się do zapomnianej przeszłości, do aktów o międzynarodowem znaczeniu, regulujących sprawę polską. Na jednem z pierwszych posiedzeń Dumy odczytał przedstawiciel Koła Polskiego następującą deklaracyę: „Teraźniejsze Królestwo Polskie utworzono 91 lat temu, gdy część terytoryum byłego państwa polskiego została połączona z cesarstwem rosyjskiem na zasadzie aktów międzynarodowych, jako to: Traktatu Rosyi z Austryą i Prusami z dnia 3-go maja 1815 roku i ostatecznego traktatu, zawartego na Kongresie wiedeńskim dnia 9. czerwca 1815 r. Z mocy wymienionych aktów międzynarodowych, zasadą i warunkiem związku Królestwa Polskiego z cesarstwem była nowa konstytucya i przyjęcie przez cesarza rosyjskiego tytułu króla polskiego. Zgodnie z tym warunkiem cesarz Aleksander w dniu 7. listopada tegoż roku 1815 nadał Królestwu konstytucyę, gwarantującą naszemu krajowi całkowity ustrój autonomiczny“... Potem wymienia ta deklaracya statut organiczny z r. 1832, który, choć ciasny, nie został wprowadzony w życie... „Zniesienie autonomii odbyło się na mocy oddzielnych praw i zarządzeń administracyjnych, nie mogących zmienić zasadniczego stosunku Królestwa Polskiego do cesarstwa rosyjskiego“. Dalej zaznacza deklaracya, że w nowych prawach zasadniczych państwowych z dnia 23. kwietnia 1906 r. nazwa Królestwa Polskiego została zupełnie usuniętą... „Przeciwko temu zamachowi jak i wogóle przeciw poniewierce praw narodu polskiego my protestujemy... Nasze prawa są święte i nieodwołalne“.

Deklaracya Koła Polskiego, która podkreślała już wówczas międzynarodowe podstawy sprawy polskiej, została nieprzychylnie przyjęta przez opinię rosyjską. Zarzucano, że Koło Polskie, zamiast stanąć do walki o prawa wszystkich ludów rosyjskiego imperyum, powołuje się na jakieś swoje odrębne prawa, opierając się na międzynarodowych traktatach, które już wówczas nazywano kawałkami papieru. Także i niektóre sfery polityczne polskie nie przyjęły przychylnie deklaracyi Koła Polskiego, gdyż oznaczała ona ich zdaniem nieprzystosowanie się do gruntu petersburskiego,

niepotrzebne drażnienie Rosyan przypominaniem zbutwiałych pergaminów. Naprzykład w Krakowie „Nowa Reforma“ nazwała tę deklaracyę niefortunną, a „Czas“ z uznaniem przedrukowywał ostre zarzuty ugodowego „Słowa“ warszawskiego.

Dzisiaj w perspektywie obecnej chwili dziejowej, te różne deklaracye innego nabierają znaczenia. Świadczą one, że jeszcze na długo przed obecnem przesileniem wojennem nasze przedstawicielstwo szukało dla sprawy polskiej międzynarodowego oparcia, że korzystało z nadarzających się sposobności, by zaakcentować mocno jedność i odrębność tej sprawy. W szczególności nasze przedstawicielstwo na gruncie petersburskim może obecnie powoływać się na to, co zaznaczyło już na wstępie swojej działalności: sprawa polska jest międzynarodową sprawą i aktów, które ją uregulowały, nie można zmienić w sposób jednostronny. Żegnając się na zawsze z Dumą rosyjską, mogą posłowie zaznaczyć, że zasadniczo nie ma ona prawa uregulowania sprawy polskiej, gdyż do tego potrzeba bardziej kompetentnych sędziów.

*
* *

W czasach pokoju wszystkie te dążenia i zasady, które powołały do życia osobne Koła Polskie w obcych parlamentach, mogły przejawiać się tylko od czasu do czasu, nie były w stanie z natury rzeczy wybijać się zawsze na plan pierwszy, bo w takim razie zamiast pozytywnej pracy, mielibyśmy nieustanną manifestacyę. Ale już sam wybuch wojny zmienił zasadniczo sytuacyę. Zmiana nie zaszła w tem znaczeniu, by każde Koło Polskie mogło mówić w imieniu całego narodu, by mogły rozszerzyć się kompetencye któregokolwiek z nich na całą polską ziemię. Przeciwnie, właśnie dlatego, że los pozbawił nas ogólno-narodowego przedstawicielstwa, było obowiązkiem dzielnicowych reprezentacyi czuwać nad tem, by ich działalność nie wykraczała poza ramy, dotychczas istniejące. Natomiast żadne Koło Polskie, mówiąc w imieniu części narodu, nie powinno było wypowiadać rzeczy, w swojej istotnej treści sprzecznych z interesami całości narodu. Koła Polskie przestały już być tylko prowincyonalnemi reprezentacyami, których zadaniem jest uzyskiwanie ciągłych, drobnych ustępstw na pewnym ściśle ograniczonym terenie prawodawczym. Pozostały Koła Polskie nadal przedstawicielami części narodu, ale już części, które powinny w rezultacie obecnej wojny zrosnąć się

w jedną samodzielną całość państwową; z tego też ogólnego ponktu widzenia należało oceniać każdy występ zewnętrzny każdego naszego przedstawicielstwa. Korzyści i taktyczne wymagania partykularne zejść winne były na plan dalszy. Należało przezwyciężyć tradycye i nałogi, nabyte w długoletniej pracy na jednym tylko gruncie, które zacieśniły szerszy horyzont polityczny. Przyszła chwila, wymagająca od kierujących polityków czegoś więcej, niż znajomości lokalnego terenu i rutyny parlamentarnej, którą zresztą można było zatracić przez brak praktyki w ostatnich latach.

Czy nasza polityka dostosowała się do tych ogólnych zasad, dla których i w przeszłości można było znaleść punkt oparcia, a których mocnego wyznawania wymagała obecna chwila dziejowa? Odpowiedź niełatwa na to pytanie, gdyż trzebaby tu wchodzić w zbyt wiele szczegółów. Albowiem działo się tak, jak się dziać było powinno, ale — nie wszędzie.

Proteus.

Charakterystyka romantyzmu.

(Dokończenie.)

III. Indywidualizm romantyczny.

Pomimo niezliczonej ilości swoich gałęzi jest romantyzm drzewem jednopiennem. A czy tym jednym pniem nie jest czasem wrodzony człowiekowi pęd do wolności? Przecie w zakresie nauki dążył romantyzm do większej, niż dawniej, swobody posługiwania się wszystkiemi wogóle władzami duszy, w dziedzinie religii — do wolności już nie tylko sumienia, ale wogóle serca, w zakresie moralności i wychowania — do wolności rozwoju indywidualnych zasobów duchowych, w dziedzinie sztuki — do wolności geniuszu twórczego, w zakresie życia społecznego i politycznego — do osobistej wolności, w dziedzinie kultury wogóle — do wolności od jej nadmiaru i jej fałszu. Wszystko to prawda — dążenie do wolności życia wogóle stanowi niewątpliwie wspólny mianownik wszystkich dążeń i buntów romantycznych: dobrze, ale czy humanizm nie był także dążeniem do wolności, do wyzwolenia człowieka z krępujących jego umysł i życie pęt nauki średniowiecznej i średniowiecznego ustroju życia? a samo oświecenie czy nie było czasem także dążeniem do wolności — i umysłowej i religijnej i moralnej i politycznej i społecznej? A jeżeli tak jest naprawdę, to kto pragnie dokładnie i jasno zrozumieć istotę romantyzmu, ten, mając oczywiście zawsze w pamięci, że i romantyzm był także pędem do wolności, musi jednak znaleźć taką cechę tego pędu, któraby go wyróżniała od innych dwóch wielkich prądów nowszej kultury europejskiej.

Czy tą cechą nie będzie czasem rozkwit indywidualizmu, rozkwit, który stanowi tak wybitne znamię duchowości nowoczesnej?

Zapewne, niema romantyzmu bez indywidualizmu, ale znowu mamy prawo i obowiązek zapytać: bez jakiego indywidualizmu? czy indywidualizm romantyczny jest indywidualizmem wogóle, czy też o jakiemś zupełnie swoistem piętnie? Odpowiedź na to pytanie jest dlatego konieczne, że cechą tamtych dwóch wielkich prądów kultury europejskiej, humanizmu i oświecenia, jest także rozbudzony indywidualizm.

Czem był humanizm, jeśli nie buntem jednostki przeciwko okowom kultury średniowiecznej? Już humanizm przecie dążył do wolności badań naukowych od kontroli kościelnej. Zresztą mniejsza o to: nie dogmatowi kościelnemu wypowiedział humanizm główną walkę, i ma słuszność znakomity uczony i myśliciel niemiecki, Wilhelm Dilthey, twierdząc, że ludzi niewierzących nietylko w XV. i XVI., ale i w XVII. wieku, było jeszcze nie tak wielu. Humanistom tedy chodziło nadewszystko o coś innego, jak o wolność w zakresie wiary religijnej: pragnęli oni i zaczęli się wyzwalać z nauki średniowiecznej nie o Bogu, tylko o człowieku, chodziło im głównie o wolność w budowie samego życia, o jego wyzwolenie z pod władzy i kontroli Kościoła, — życia po części politycznego (walczyły przecie państwa z supremacyą papieża), ale przedewszystkiem osobistego.

Za rzecz mniejszej wagi, za rzecz marną poczytywała życie nauka średniowieczna; za marność uchodziły i rozkosze zmysłowe i uroda i sława i nauka i potęga i dobrobyt — wobec życia pozagrobowego; życie ziemskie było tylko środkiem, pozagrobowe — celem. Za marność uchodziła i sama podstawa życia ziemskiego — natura; nie *natura*, tylko *gloria* była ideałem życia człowieka średniowiecznego, ideałem, którego, jak w to mocno wierzono, nie osiągnie człowiek własnemi siłami, który osiągnie jedynie za pomocą łaski nadprzyrodzonej, *gratia*. Jakiż to np. znamienny rys człowieka średniowiecznego, że przez ojczyznę, *patria*, rozumiał nie tyle swoją ziemię rodzinną, ile przedewszystkiem — niebo! Otóż humanizm — w tem tkwi jego najgłębsza istota — był protestem przeciwko takim pojęciom o życiu, był buntem przeciwko ogołacaniu życia ziemskiego z wszelkich trwałych wartości; nie przestając bynajmniej wierzyć w życie pozagrobowe, jako najlepsze, trwałe, wiekuiste, człowiek zapragnął już tutaj, na ziemi — *żyć:* bawić się i cieszyć, napawać się rozkoszami, gromadzić bogactwa, być sławnym; na naturę przestawał patrzeć, jako na prze-

ciwstawienie ducha, jako na źródło pokus i namiętności, jako na wytwór chytrego dyabła, zastawiającego sieci na jego duszę, patrzył natomiast na naturę, jako na źródło dobrobytu materyalnego, bądź jako na źródło rozkoszy nietylko zmysłowych, ale także idealnych, a mianowicie estetycznych. Krótko mówiąc, indywidualizm humanizmu był buntem duszy ludzkiej przeciwko niewoli, krępującej bogactwo, różnorodność i pełnię jego życia ziemskiego, przeciwko poglądowi na świat, podającemu w wątpliwość, a nawet negującemu wartości tego ziemskiego życia. Dlatego to właśnie w humanizmie odgrywa tak olbrzymią rolę pierwiastek estetyczny nietylko w sztuce, ale i w życiu, w jego wygodach i przepychu.

Indywidualizm oświecenia ma swój własny, zupełnie swoisty charakter. Przedewszystkiem o tem pamiętać trzeba, że humanizm miał charakter arystokratyczny: z osiągniętego przez humanizm zwycięstwa nad życiem średniowiecznem i średniowiecznym poglądem na świat korzystały tylko jednostki, tylko tak zwane wyższe warstwy społeczeństwa, którym chodziło nawet, i to zupełnie świadomie, o zachowanie owoców tego zwycięstwa dla siebie, które się wręcz obawiały rozpowszechniania nowych zdobyczy kulturalnych. Oświecenie tymczasem miało charakter już w znacznej mierze demokratyczny i, dodajmy, czynny: tutaj chodziło już o wywalczenie jeżeli nie wszystkich, to przynajmniej niektórych owoców nowej kultury — dla wszystkich. Nie dosyć na tem. Humanizm, pomimo że był buntem przeciwko nauce średniowiecznej, pomimo że rozbudził w duszy ludzkiej krytycyzm, jednak nie zatracił ze szczętem charakteru dogmatycznego. Przeciwnie, zostało go w nim dużo, bardzo dużo, i to pod dwojakim względem. Po pierwsze, buntując się przeciwko nauce Kościoła o życiu, zrywając z nią nawet w znacznej mierze, uwierzył tak dobrze, jak ślepo, w prawdę nauki i mądrości życiowej starożytnych. Walczył z powagami, to prawda, ale bronią tej walki były także powagi, tylko inne. Po drugie, przeciwko niektórym pierwiastkom nauki kościelnej, humanizm nie buntował się naogół — chyba wyjątkowo tylko, w osobie niewielu myślicieli — nie buntował się tem więcej, że te pierwiastki bynajmniej nie zawsze były w niezgodzie z ubóstwianą przez humanizm nauką starożytnych. Tu należy przedewszystkiem nauka o społeczeństwie: przecie zarówno w pogańskiej starożytności, jak w chrześcijańskiem średniowieczu, uczono, że istnienie różnych warstw społecznych z niejednakowemi pra-

wami jest rzeczą słuszną, płynącą z konieczności czy z dopustu bożego, potrzebną dla dobrobytu całości społeczeństwa, dla jego harmonii. A i przeciwko nauce o władzy królewskiej, o tem, że płynie z Bożej łaski, także się humanizm naogół nie buntował. Nauki te dopiero oświecenie poddało druzgocącej krytyce, i ono dopiero obalać zaczęło już całość nauki średniowiecznej zarówno o Bogu i świecie, jak o człowieku. Bronią zaś tej krytyki były już nie żadne powagi, tylko rozum, który się teraz dopiero poczuł wolnym i niezależnym. I tutaj właśnie dochodzimy do ujęcia najistotniejszej cechy indywidualizmu oświecenia: był to indywidualizm rozumu. Bunt rozumu indywidualnego przeciwko tradycyjnym pojęciom, już wszystko jedno jakim, czy popartym i oświeconym powagą starożytności, czy Kościoła; wiara, że nowy świat ludzkość może zbudować pracą własnego rozumu; przekonanie, że to, co jest z rozumem sprzeczne, że, co więcej, to, czego rozum, czerpiący swój materyał z wrażeń zmysłowych, nie może dowieść, — że to wszystko jest fałszem i szkodą, a nawet klęską dla ludzkości; słowem oddanie rozumowi bezwarunkowej, despotycznej władzy w budowie życia: oto indywidualizm oświecenia.

Taki jednak indywidualizm był prostą, bitą drogą do... negacyi indywidualizmu: Dlaczego? dlatego, że rozum uogólnia życie, uogólnienia zaś życia są dla indywidualizmu, dla konkretnej prawdy życia, zabójcze; przecie to, co stanowi najgłębszą istotę indywidualnej jednostki, jej wyłączną własność, jej niezaprzeczoną oryginalność, nie da się uogólnić. A cóż się na to składa? co stanowi najgłębszą istotę jednostki? Irracyonalne pierwiastki jego duszy. Otóż indywidualizm romantyzmu — to jego cecha swoista i wybitna — polegał na reakcyi pierwiastków irracyonalnych przeciwko wszechwładztwu pierwiastku racyonalnego, na ich dążeniu do wywalczenia sobie czynnego udziału w budowie życia. A ponieważ te właśnie pierwiastki, nie rozum, rozstrzygają ostatecznie nie tylko o sile, ale i o rodzaju indywidualności, ponieważ one są, jeśli tak można powiedzieć, nierównie bardziej indywidualne od pierwiastku racyonalnego, — więc też o prądzie, w którym indywidualizm polega na rozkwicie tych właśnie pierwiastków, t. j. o romantyzmie, można i trzeba powiedzieć, że jest nierównie silniejszym objawem, potężniejszym wybuchem indywidualizmu, aniżeli prąd, w którym indywidualizm polegał głównie

na rozkwicie pierwiastku racyonalnego, to jest aniżeli oświecenie. Ma słuszność Schiller:

Allen gehört, was du denkst; dein eigen ist nur, was du fühlest.

Tę samą myśl wypowiedział Taine w słowach: *Nos idées sont à tout le monde, nos sentiments ne doivent être qu'à nous seuls.*

Charakter racyonalistyczny indywidualizmu oświecenia tłómaczy nam właśnie, dlaczego ten wielki i potężny prąd kultury europejskiej jest prądem nierównie bardziej jednolitym od romantyzmu: ludzie, kierujący się rozumem, logiką, daleko łatwiej i nierównie częściej dochodzą do zgodnych poglądów, niż ludzie, rządzący się głównie uczuciem; dla racyonalistów jedność będzie zawsze tylko jednością, ale dla romantyków —

...gdzie się serca palą,
Cyrklem uniesień duch,

tam może być i tak, że

Jedność większa od dwóch.

Są wprawdzie, jak widzieliśmy, pewne węzły wspólne pomiędzy oświeceniem a romantyzmem (np. w dziedzinie pojęć i dążności społecznych), ale w swojej istocie romantyzm jest przeciwieństwem oświecenia i walką z niem.

A teraz, po tem wszystkiem, co się powiedziało o romantyzmie, jako reakcyi przeciwko oświeceniu, i o jego swoistym indywidualizmie, można będzie dać taką definicyę tego prądu. *Romantyzm jest to prąd europejskiej kultury duchowej XVIII i XIX wieku, którego istotę stanowi walka ducha z jednostronnością oświecenia, to znaczy walka irracyonalnych pierwiastków duchowych z roszczącym sobie prawo do wszechwładztwa pierwiastkiem racyonalnym, czyli inaczej: walka o wyższość realnego życia nad oderwaną myślą o życiu.*

W tem określeniu mieści się już *implicite* ta cecha romantyzmu, którą się, mówiąc o nim, wysuwa pospolicie na samo czoło i która jest istotnie jego cechą znamienną i nieodłączną, mianowicie indywidualizm; bo, raz jeszcze, zarówno o rodzaju, jak i o sile indywidualizmu, stanowią przedewszystkiem pierwiastki irracyonalne, rozstrzyga pęd życiowy, a nie intellekt. W tem określeniu romantyzmu może się także z łatwością pomieścić nie tylko

cała różnorodność, ale i cała sprzeczność jego objawów; bo przecie, logika pierwiastków irracyonalnych jest nierównie sprężystsza i cierpliwsza od logiki rozumu.

Nadto bunt pierwiastków irracyonalnych przeciwko wszechwładztwu rozumu może być (to też istotnie był, jak tego uczy historya romantyzmu) bardzo różny. W walce z rozumem mogą te pierwiastki zadowolić się wywalczeniem sobie prawa do czynnego udziału w budowie życia, a po ich wyzwoleniu mogą nawet zawrzeć pokój i sojusz z przeciwnikiem i żyć z nim zgodnie, nie płacąc mu pięknem za nadobne, to znaczy, mogą nietylko nie odmawiać mu prawa do budowy życia, ale go nawet wołać na pomoc. Lecz może być także inaczej, jak to na wojnie, która się czasami kończy zagładą przeciwnika i dzikim tryumfem zwycięzcy; pierwiastki irracyonalne mogą się domagać nietylko współudziału w budowie życia, ale i monopolu w jego budowie, mogą nie chcieć paktować ze zwyciężonym rozumem, mogą go i zniszczyć, a przynajmniej odmawiać mu jego słusznych praw, mogą powiedzieć sobie, jak niegdyś sobie Rousseau mówił: „Człowiek, który rozmyśla, jest zwyrodniałem zwierzęciem“. Mogą także irracyonalne pierwiastki duszy ludzkiej chcieć budować nowy gmach życia, nie licząc się zupełnie z jego realnymi warunkami i możliwościami, mogą przy tej budowie zupełnie zapomnieć o tem, że człowiek dopóty przynajmniej, dopóki żyje na ziemi, może budować gmachy t y l k o na ziemi. Albo mogą jeszcze mówić sobie te irracyonalne pierwiastki, jak mówił sobie kiedyś Słowacki:

> Ani rola, ni handel, ni prac rozdzielenie
> Nie jest źródłem bogactwa kraju, lecz natchnienie.

W dziedzinie nauki mogą żądać dla siebie więcej praw i udziału, niż się im należy, mogą np. lekceważyć zupełnie pracę zmysłów i rozumu i ogłosić niektóre z pośród siebie, np. intuicyę, za jedyne źródło wiedzy i za jedyne kryteryum prawdy. W dziedzinie życia politycznego mogą także chcieć odgrywać rolę rozstrzygającą, uciekając się np. do takiej swoistej logiki (zna ją dobrze historya polska): na świecie panować powinna sprawiedliwość, takie jest przecie prawo boże, — a więc kto, chociaż słaby, zerwie się przeciwko silniejszemu, to, o ile tylko jego sprawa jest słuszna, musi ją wygrać, choćby mu przyszło kijami zdobywać armaty. W dziedzinie sztuki pierwiastki irracyonalne, zwłaszcza fan-

tazya i uczucie, mogą i mają zupełne prawo patrzeć z pogardą na takie dzieło sztuki, które powstało bez ich udziału; ale równie dobrze mogą czasami wymagać dla siebie monopolu w procesie twórczości; twórcza fantazya np. może przestać zupełnie liczyć się już nie tylko z logiką rozumu, ale nawet z logiką illuzyi estetycznej, może ogłosić rozwagę za wroga wszelkiej sztuki, a swój własny pęd za nieomylne kryteryum piękna: że tak nieraz bywało, o tem wie coś historya literatury.

I tak na każdem polu romantyzm może się przeradzać (albo wyradzać) w hyperromantyzm albo, jeśli kto woli, w pseudoromantyzm. A raczej nie tylko może, ale się w rzeczywistości nieraz wyradzał, indywidualizm romantyczny przybierał często objawy chorobliwe. Rzućmy przynajmniej okiem na niektóre z tych objawów, choćby dlatego, żeby nie być posądzonym o stronniczość względem romantyzmu, o to, że się widzi jedynie jego objawy dodatnie, a zamyka oczy na ujemne.

IV. Niektóre objawy hyperromantyzmu.

Sam punkt wyjścia indywidualizmu romantycznego — walka z przytłaczającym jednostkę uniwersalizmem oświecenia — był bez żadnej wątpliwości objawem zdrowia moralnego; nie tylko społeczeństwo, ale i jednostka ma swoje prawa, i nie tylko społeczeństwo, ale i jednostka może dokonać wielkich czynów. Kto wie nawet, może i — większych? Kto rozstrzyga o pochodzie historycznym ludzkości: wielkie jednostki, czy szary tłum? Romantyzm dał na to pytanie stanowczą odpowiedź: jednostki, mianowicie jednostki wielkie i mające świadomość swojej wielkości. „Doszedłem do przekonania — pisał kiedyś romantyk niemiecki, Immermann — że jedynie jednostka może pchnąć ludzkość na nowe tory, że nie było jeszcze wypadku w historyi, żeby np. sto tysięcy przeciętnych ludzi stworzyło coś nowego“ [1]). Zdanie to podpisaliby z pewnością obydwiema rękami i Beniamin Constant i Byron i Shelley. O czci Carlyla dla wielkich bohaterów niema co i mówić. Mickiewicz wahał się przez pewien czas, czy w tłumie, czy w jednostce spoczywa nowe kryteryum prawdy życiowej, i co za

[1]) Zygmunt Łempicki. *Immermanns Weltanschauung*, str. 117.

tem idzie, czy tłum, czy jednostki rozstrzygają o losach narodów i ludzkości, ale ostatecznie, w *Prelekcyach paryskich,* przechylił się stanowczo na stronę wielkiej jednostki. Słowacki jest autorem *Króla Ducha,* tego dosyć. Czy ten punkt widzenia jest słuszny, czy nie, na to pytanie niech sobie odpowiada socyologia; dosyć, że, raz jeszcze, wiara w potęgę jednostki, jej marzenia o tem, żeby ruszyć z posad bryłę świata, jest objawem zdrowia, twórczej i szlachetnej energii życiowej.

Lecz objawem już nie zdrowia, tylko choroby moralnej, była słynna romantyczna teorya genialnej swobody. Szacunek jednostki dla samej siebie wyrodził się w samoubóstwienie, — w ubóstwienie wszystkich bez wyjątku pierwiastków własnej duszy, dodatnich i ujemnych. W czem upatrywał taki Fryderyk Schlegel wartość człowieka, jego główną cnotę? Jedynie w jego odrębności od innych ludzi, w jego oryginalności. O tem, że Fichte, choć był wyznawcą teoryi genialnej swobody, pragnął jednak, żeby świat był dla człowteka przedewszystkiem areną dla realizowania jego ideałów moralnych, — o tem zapomniał Fryderyk Schlegel, jak zapominali inni romantycy niemieccy. „Ja sam jestem jedynem prawem w całej naturze“ — mówi jeden z bohaterów Tiecka. Pracować dla ojczyzny, dla ludzkości — niema głupich: czy nie lepiej kształcić samego siebie, wleźć, jak ślimak, w swoją własną skorupę? Czy nie taki wniosek płynie ze słynnej rady Fryderyka Schlegla, aby nie trwonić swych zasobów duchowych na pracę nad społeczeństwem, aby raczej żyć jedynie w boskim świecie nauki i sztuki, aby tylko się kształcić i kształcić? Słuszną i głęboką uwagę uczynił Hettner w swej znakomitej charakterystyce niemieckiej szkoły romantycznej w jej stosunku do Goethego i Schillera, że ci dwaj wielcy poeci, niezadowoleni ze smutnej rzeczywistości, jaka ich otaczała, uciekali tylko z *tej,* smutnej, rzeczywistości, kiedy tymczasem romantycy niemieccy uciekali z rzeczywistości w o g ó l e, i to poczytując tę ucieczkę nie za *malum necessarium*, tylko za naczelną zasadę, za program życia, obowiązujący wielkiego człowieka. A tak było nietylko w romantyzmie niemieckim. Już przecie Rousseau uciekał od świata, nie poczuwając się względem niego do żadnych obowiązków i poczytując go za przeszkodę do rozwinięcia bogactw własnej duszy, które się niby tylko w samotności rozwinąć całkowicie mogą, nie mówiąc już o tem, że świat przeszkadzał mu do jego ulubionego zajęcia — do marzeń. A cóż

mówiła pani de Staël? „Stosunki z ludźmi przyćmiewają światło umysłu, zabijają energię duszy; talent, miłość, moralność — te ognie niebieskie rozpłomieniają się jedynie w samotności“. Z romantyków angielskich wystarczy wymienić Shelleya, który mówi przecie w *Alastorze*, że życie poety, marzyciela, usuwającego się od ludzi, oddającego się tylko marzeniom, ma większą wartość od pracy społecznej. I w naszym romantyzmie dałoby się znaleźć przykłady jeżeli nie takiej apoteozy, to pragnienia samotności, hasła odosobnienia się od świata.

I czegoż więc w tym nowym roku będę żądał?
Samotnego ustronia, dębowej pościeli,
Skądbym już ani blasku słońca nie oglądał,
Ni śmiechu nieprzyjaciół, ni łez przyjacieli.

Tam do końca, a nawet i po końcu świata,
Chciałbym we śnie, z którego nic mię nie obudzi,
Marzyć, jakem przemarzył moje młode lata:
Kochać świat, sprzyjać światu — zdaleka od ludzi...

To Mickiewicz. A Słowacki:

Nie! nie chcę raju — lecz proszę proroka,
Niech mojej duszy da stepy bez końca,
Dzikie i puste, bezbrzeżne dla oka
I wiecznie wrzące promieniami słońca...
Niech dla rajskiego duszy zachwycenia,
Step ten mych wrogów okryją mogiły...
O takiem szczęściu serce moje marzy.
Ach! wtenczas będę spokojny! szczęśliwy!
Niech tylko żaden, żaden człowiek żywy,
Tej samotności przerwać się nie waży.

Tylko że w romantyzmie polskim takie pragnienia i hasła były zawsze jedynie przelotne, nie podnoszono ich nigdy do wysokości i godności programu życiowego; przecie jednym z najważniejszych tytułów polskiej poezyi romantycznej do wielkości jest jej charakter społeczny, przedziwna harmonia ideału indywidualnego z ideałem służby narodowej.

Nierównie już częściej spotykamy się w naszej poezyi romantycznej z innym objawem hyperromantyzmu, a jest nim tak zwany idealizm magiczny, którego źródła tkwią także w wybujałym indywidualizmie.

Jeżeli się, jak to często bywało u romantyków, za alfę i omegę świata uzna samego siebie, to do poczytania wszystkiego, co swoje, za wielkie, a nawet za święte, już tylko jeden krok. Prawda, bardzo często człowiek ubóstwia nie to, co ma, ale przeciwnie to, czego nie ma. Nietzsche wiedział i czuł, że jest człowiekiem słabym, ale tej swojej słabości nie ubóstwiał, zupełnie przeciwnie: ubóstwiał siłę i wymarzył sobie nadczłowieka, któryby posiadał to właśnie, czego jemu brakowało, który jest jego przeciwieństwem. Ale może być także inaczej. Kto ma świadomość swojej bezsilności, ten się zrazu często z nią szamoce i rwie do czynu; kiedy widzi, że wszystko napróżno, cierpi, ale, rozumie się, szuka pociechy i znajduje ją — w czem? w przekonaniu, a raczej w przeświadczeniu, w uczuciowej wierze, że jego bezsilność jest jednak pewną wartością, choćby np. estetyczną, że brak sił, brak woli jest w człowieku pięknością, poezyą: iluż to bohaterów romantycznych — we wszystkich literaturach — podziwiało się w swojej bezczynności i bezsile! Niedosyć na tem: swoją bezsilność poczytuje niekiedy człowiek za wartość moralną, za zasługę, a nawet — za czyn; apoteoza cichej, biernej ofiary w niektórych utworach polskiej poezyi romantycznej, np. w *Posłaniu do braci wygnańców* Brodzińskiego, albo w *Resurrecturis* Krasińskiego, jest niczem innem, tylko poetyzowaniem bezsilności, jest ratowaniem się człowieka bezsilnego, który może zrazu boi się tylko, żeby nie stracić dla siebie szacunku, żeby ocalić w sobie poczucie własnej wartości, ale potem tę ocaloną, a często tylko wymarzoną, wartość podwaja i potraja, aż nakoniec poczytuje ją za pewniejszy środek do osiągnięcia celu, niż wolę, niż siłę, niż czyn.

A zresztą — co to jest czyn? pytali nieraz romantycy wszystkich krajów; czy, żeby coś uczynić, trzeba koniecznie do tego czegoś przyłożyć rękę w dosłownem, fizycznem, materyalnem znaczeniu? I odpowiadali na to pytanie — jedni, żeby osłonić i usprawiedliwić własną bezsilność, a niejednokrotnie i własne lenistwo, inni zaś w dobrej i głębokiej wierze w potęgę idealnego pierwiastku człowieka — odpowiadali: *nie*, do spełnienia czynu nie koniecznie potrzeba przyłożyć rękę, wystarczy np. głęboko wierzyć, gorąco się modlić, mocno chcieć, bardzo kochać, krótko mówiąc, do spełnienia czynu, choćby największego, choćby najtrudniejszego, wystarczy — tak czy inaczej — natężyć, podnieść, rozpalić ducha. Oto jaką prawdopodobnie drogą powstało w romantyzmie pojęcie

idealizmu magicznego. Najwybitniejszym przedstawicielem tego objawu psychiki romantycznej w Niemczech był, jak wiadomo, Novalis, który — rzecz to niezmiernie znamienna — był człowiekiem bardzo słabego zdrowia (i umarł w kwiecie młodości). I właśnie w bezsilności fizycznej Novalisa w przymierzu z jego szlachetną, marzycielską, czystą, ale chorą duszą, tkwi główne źródło jego idealizmu magicznego, to znaczy jego ułudy, że człowiek o umyśle genialnym, o duszy poetycznej, a do tego moralny i religijny, ma nieograniczoną, niemal absolutną, magiczną potęgę nad naturą, nad ludźmi, nad światem całym, że taki człowiek jest cudotwórcą, że się może uleczyć choćby z najcięższego kalectwa, sprawić, że mu ręka odcięta odrośnie, że umrze naturalną śmiercią w oznaczonym czasie i t. d.

Ten idealizm magiczny to rzecz bardzo stara — istniał on już i podobno jeszcze istnieje w Indyach, znały go dobrze i wieki średnie; nie wyrzekły się go i czasy nowsze, o czem u nas świadczy choćby poezya Konopnickiej, Tetmajera, Staffa i filozofia Lutosławskiego. Bez snów o potędze człowiek żyć nie może! A powstają one najczęściej w stosunku odwrotnym do posiadanej potęgi, do realnych sił, — najczęściej, ale nie zawsze: bo mogą także powstawać z poczucia siły. Kiedy Kant wygłaszał wspaniałe hasło: „Możesz, boś powinien"; kiedy Mickiewicz wołał:

Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga,
Łam, czego rozum nie złamie! —

wtedy były to sny o potędze ludzi mocnych, nie były żadnym idealizmem magicznym, opierały się bowiem nietylko na wierze w potęgę pierwiastku duchowego człowieka, ale nadewszystko na silnej i dobrej woli, na woli do czynnego, naprawdę c z y n n e g o, udziału w pracy wieków, do realnej, ciężkiej p r a c y nad ziszczeniem tych snów wspaniałych. Lecz właśnie tej silnej i dobrej woli często brakowało romantykom: w ich marzeniach zatracało się zupełnie trzeźwe pojęcie c z y n u, i dlatego to ich marzenia bywały często jedynie... łudzeniem samych siebie. Zresztą nawet ludzie silni w pewnych chwilach życia, w pewnych stanach duchowych polegali tym złudzeniom, nadewszystko poeci ze swą romantyczną wiarą w cudotwórczą potęgę poezyi. Taką chwilę miał na szczycie góry Mont-Blanc Kordyan, któremu się zdawało, że może

. . . . . . zruszyć lawiny, potem lawin śniegi,
Zawieszone nad siołem,
Zakrywać ręką lub czołem.

Ale cóż mówić o Kordyanie albo o Księdzu Marku, którego Słowacki obdarzył taką potęgą ducha, że jego „sztychem“ rozsadzał armaty moskiewskie, kiedy i Mickiewicz miewał takie sny o potędze:

Człowieku! Gdybyś wiedział, jaka twoja władza!...
Ludzie! Każdy z was mógłby samotny, więziony,
Myślą i wiarą zwalać i podźwigać trony.
. . . .
. . . . W chwilach mej siły, wysoko,
Kiedy na chmur spojrzę szlaki
I wędrowne słyszę ptaki,
Żeglujące na ledwie dostrzeżonem skrzydle:
Zechcę i wnet je okiem zatrzymam, jak w sidle...
Stado pieśń żałosną dzwoni,
Lecz póki ich nie puszczę, Twój wiatr ich nie zgoni...
Kiedy spojrzę w kometę z całą mocą duszy,
Dopóki na nią patrzę, z miejsca się nie ruszy...

Ale cóż znamienniejszego, że te swoje sny o potędze umieścił Mickiewicz... w więzieniu! Bo na całym świecie niema i nie może być żyźniejszego gruntu dla snów o potędze i wolności, jak bezsilność i niewola. Tak, śmiało powiedzieć można, że sny o potędze romantyków polskich to często cudowne, ale smutne kwiaty, wyrosłe na grobie wolności ojczyzny. Takim kwiatem jest i mesyanizm polski, nie ten naturalnie, który wierzył i uczył, że Polska o własnych siłach zmartwychwstanie i wprowadzi świat na nowe tory, — taka wiara była objawem i dowodem zdrowia moralnego, była romantyzmem, ale nie hyperromantyzmem, — ale ten mesyanizm, który wierzył i uczył, że Bóg może nas zbawić bez nas samych, który apoteozował cichą i bierną ofiarę: to mesyanizm hyperromantyczny albo, jak słusznie powiedział Pawlikowski, dekadencki, to choroba, nie zdrowie.

Jeden jeszcze chorobliwy objaw romantyzmu: tak zwana „miłość romantyczna“. Czem się ona różni od miłości zwykłej? Nie romantyzm odkrył tę prawdę, że miłość jest potęgą życiową, ale on dopiero wyniósł tę potęgę na niebywałe, fantastyczne wyżyny, a nadto do niebywałych, fantastycznych rozmiarów rozszerzył arenę jej działalności.

Już Rousseau poczytywał miłość za punkt środkowy życia, i to nietylko życia gruchającej pary, ale całego świata, za oś, około której świat się obraca; mniemał przecie, że (jak to ironicznie, a tym razem zupełnie słusznie, mówi Lasserre) zerwanie nici miłosnej, łączącej dwoje kochanków, jest dla świata większą klęską, aniżeli np. śmierć Newtona.

Wraz z zawodem miłosnym kończy się i powinien się kończyć dla człowieka świat, i nie pozostaje człowiekowi nic innego, tylko odebrać sobie życie; przecie zawód w miłości jest najlepszym dowodem, że świat jest głupi, zły, podły, że Pan Bóg jest niesprawiedliwy i okrutny; poza miłością niema nietylko szczęścia, ale także i obowiązku, — dlaczego? dlatego, że miłość jest nietylko największem szczęściem, ale i najwyższym obowiązkiem; stąd wniosek, że kto nie kocha, ten nietylko nie zaznał prawdziwego szczęścia i wogóle nie zaczął jeszcze żyć, ale nie zaczął jeszcze pełnić swego obowiązku; tak oto mniej więcej pojmowali od czasów Roussa miłość romantycy — nie wszyscy, na szczęście, bo przecie w *Cierpieniach Wertera* albo w czwartej części *Dziadów* jest już przezwyciężenie uczucia i pojęcia tej „miłości romantycznej" — nie wszyscy, ale po większej części. Niedosyć na tem. Miłość uchodziła często nietylko za najwyższe szczęście, za sens życia, ale za s z t u k ę i za r e l i g i ę.

Sztuką stawała się miłość dlatego, że ją sztucznie pielęgnowano, a to zapomocą fantazyi, będącej często zaklętym wrogiem prawdy i siły uczucia. Dla kogo miłość nie była jeszcze faktem uczuciowym, ten, słysząc na wszystkie strony, że ona jest osią świata i najświętszym ze wszystkich obowiązków, wmawiał w siebie jej uczucie, tworzył je zapomocą fantazyi, która znajdowała obfity pokarm w literaturze, i kochał ten wyśniony, wymarzony obraz; a potem z tym wyśnionym obrazem zlewała się w jedną całość jakaś rzeczywista istota, na którą się patrzało przez jego pryzmat, i tym sposobem kochało się nie tyle realną istotę, ile swoje własne marzenie: czy nie taką czasem była miłość Słowackiego ku pannie Śniadeckiej, czy nie taka czasem miłość, w y m a r z o n a, odzwierciedliła się *W Szwajcaryi?* Zresztą i Gustaw Mickiewicza wyznaje otwarcie, że szukał

. . . . tej boskiej kochanki,
Której na podsłonecznym nie bywało świecie,
Którą tylko na falach wyobraźnej pianki

Wydęło tchnienie zapału,
A żądza w swoje własne przystroiła kwiecie...

Religią zaś, albo raczej bałwochwalstwem, stawała się miłość dlatego, że ją poczytywano za świętość, przed którą wszystko, bez wyjątku wszystko, musi iść w szary kąt; kto nie idzie za głosem miłości, nie oglądając się na nic i na nikogo, ten gwałci prawo boże, bo miłość jest największem prawem bożem: tak myśleli nie tylko romantycy niemieccy, ale i francuscy, a i w spowiedzi Gustawa nie brak podobnego rodzaju pojęć. Musset zaś w swej *Spowiedzi dziecięcia wieku* rozwija myśl, że namiętność jest rzeczą świętą i że ci, których ona nawiedza, powinni ją błogosławić, choćby była źródłem najokrutniejszych udręczeń, bo to jedyne dobro, jedyna prawda, jedyna religia. Zdradzić żonę albo męża i pójść za głosem namiętności to dla pani de Staël nie tylko rzecz dozwolona, to święty obowiązek, bo miłość, jako świętość, uświęca wszystko.

Za tym bałwochwalczym kultem miłości, jako najwyższej wartości życiowej, poszło rozszerzenie jej areny poza właściwą jej dziedzinę, uczuciową. Że miłość jest, a przynajmniej bywa czynnikiem, sprzyjającym rozwojowi czy to woli, czy umysłu, że miłość może dać duszy ludzkiej skrzydła, na których się łatwiej wzniesie w krainę wiedzy, — o tem wątpić może tylko ten, kto całą duszą nie kochał, o tem wiedzieli też dobrze poeci już przed epoką romantyzmu, a i po epoce romantyzmu o tem nie zapomnieli, jak świadczy o tem tak pięknie pieśń Asnyka:

„Ja ciebie kocham!“ Ach, te słowa
Tak dziwnie w mojem sercu brzmią!

Lecz romantyzmowi tego było mało. On poczytał miłość za bezpośrednie źródło wiedzy, za klucz do otwierania najskrytszych przybytków świata, za środek do poznania absolutu, za jedyną realizacyę dążenia człowieka do nieskończoności. Przyplątały się nadto do takich pojęć pierwiastki idealizmu magicznego: miłość i namiętność poczytywano za siłę cudotwórczą, która samym faktem swojego istnienia może wywierać wpływ choćby na całą ludzkość, na cały świat. Musset np. otwarcie wyznaje, że się spodziewa, iż jego miłość ku pani Sand rozpocznie, nie mniej ani więcej, tylko nową epokę, epokę szczęścia, w historyi całej ludzkości.

A to jeszcze nie wszystkie kwiaty tego bukietu (wątpliwej świeżości i piękności), który się nazywa „miłością romantyczną“: są przecie jeszcze różne brednie romantyków niemieckich, Fryderyka Schlegla, Baadera, Novalisa, np. o androginie, o tem, że andrjudaginą był pierwszy człowiek, nieboszczyk Adam, i że dążeniem porządnego człowieka powinno być powrócić do tej pierwotnej syntezy mężczyzny i kobiety. Że głównem, jeśli nie jedynem źródłem takich i tym podobnych bredni jest, nazywając rzecz po imieniu, erotomania, to chyba nie podlega najmniejszej wątpliwości. U nas rzecznikiem całokształtu teoryi miłości romantycznej będzie dopiero Przybyszewski. Lecz dajmy temu już pokój. Jedno tylko jeszcze o miłości romantycznej. Rozszerzenie zakresu miłości poza jej właściwą sferę zaszkodziło może, a nawet z pewnością, wyznawcom tej teoryi, zaszkodziło i poezyi, ale nie zaszkodziło, na szczęście, ani logice, ani teoryi poznania. Ale estetyce — zaszkodziło. W pojęciu to miłości romantycznej ma swoje źródło pogląd, który i dziś jeszcze ma wyznawców, że poczucie piękna powstało z popędu miłosnego, że pierwotna sztuka to dziecię miłości płciowej: tu niechaj wolno będzie przytoczyć zdanie Teodora Lippsa, że taki pogląd mógł powstać jedynie w głowie erotomanów i dekadentów, a nie estetów i filozofów.

V. Wartości życiowe romantyczne.

Lecz nie byłoby końca, gdyby się chciało wymieniać i charakteryzować wszystkie zwyrodnienia romantyzmu; kto ciekaw, znajdzie ich dowoli w książkach Lasserra, Seillera i innych krytyków francuskich, którzy w ostatnich czasach tak dużo pisali o romantyzmie, przyczem najczęściej nie chcieli czy też nie umieli odróżniać romantyzm od hyperromantyzmu, i dlatego ich sąd o tym potężnym prądzie życia duchowego musiał wypaść ujemnie. I właśnie w tem nieodróżnianiu romantyzmu od hyperromantyzmu, istoty prądu, który był, raz jeszcze, zdrowiem, nie chorobą, od jego zwyrodniałych objawów, tkwi źródło nieporozumień i często jaskrawych sprzeczności w sądach o wartościach życiowych romantyzmu. Jedni przypisują mu wielkie wartości dodatnie, inni poczytują go za ciężki i szkodliwy błąd historyi, a nawet wręcz za obłęd. Ci wrogowie romantyzmu nie biorą pod uwagę jego źródeł

historycznych, nie rozumieją tej prawdy dziejowej, że romantyzm był walką z martwemi prawdami oświecenia, podjętą w imię prawd żywych; materyału zaś do aktu oskarżenia przeciwko romantyzmowi szukają jego wrogowie prawie wyłącznie w archiwach hyperromantyzmu i na podstawie tego aktu ferują wyroki. Wyroki to równie niesłuszne, jakimi byłyby wyroki o oświeceniu, o tym wielkim i błogosławionym, bo walczącym z niewolą myśli, z krzywdą polityczną i społeczną, prądzie, gdyby go kto sądził na podstawie jego zwyrodniałych pierwiastków, zamykając oczy na zdrowe. Albo czy słusznym byłby sąd o klasycyzmie polskim, gdyby się opierał na pismach Osińskiego i Koźmiana, a nie na pismach Krasickiego i Jana Śniadeckiego? Jeżeli się odróżnia klasycyzm od pseudoklasycyzmu, to jakiem prawem nie odróżnia się romantyzmu od hyperromantyzmu?

Jeden z najszlachetniejszych myślicieli, jakich przez całe wieki swego istnienia wydała Francya, Guyau, słusznie powiedział, że każda reakcya, która protestuje przeciwko jakiemuś nadużyciu, z wielką łatwością wpada w nadużycie przeciwne. A i Kant prawdę powiedział, że niema na świecie ani jednej rzeczy tak czystej, którejby człowiek nie powalał i nie pokalał swemi brudnemi rękami. Tak właśnie było z romantyzmem: wpadał często w nadużycia, przeciwległe względem tych, przeciwko którym protestował, walali go i kalali ludzie. Czy przez to jego zasługi, które w swoim czasie położył, walcząc ze zwyrodnieniem oświecenia, wlewając w dusze ludzkie nowe życie, przestają być wielkiemi? Nie, nie i nie! On to dopiero w epoce, kiedy rozum rościł sobie prawo do wszechwładztwa i żądał dla siebie czci bałwochwalczej, upomniał się o prawa dla innych pierwiastków duszy i zapędził je do pracy nad budową kultury. On wyzwolił indywidualność człowieka z ciasnych pęt szablonu uogólnień ideowych i z niemniej ciasnych nakazów etyki społecznej: nie burząc jej wcale, owszem poczytując dobro ludzkości za najwyższy ideał, on dopiero zrozumiał, że pełnia rozwoju społeczeństwa zależy od pełni rozwoju jednostek. Dziedzinę nauki swojem wspaniałem hasłem „łam, czego rozum nie złamie" nie tylko rozszerzył, ale nadto pomnożył jej siły, ofiarując na jej usługi uczucie, fantazyę i intuicyę, które wolno rozumowi kontrolować, ale których usługami pogardzać mu nie wolno. Że odrodził poezyę, szkoda czasu mówić: on to ją dźwignął na takie wyżyny, na jakie się przed

nim wdarli w czasach chrześcijańskich dwaj tylko poeci: Dante i Szekspir.

Ale to wszystko jeszcze nic w porównaniu z trzema innemi, największemi, zasługami kulturalnemi romantyzmu.

Pierwszą jest, że kosmopolityzmowi oświecenia przeciwstawił ideę narodową, że on dopiero zrozumiał i odczuł głęboko, co to jest narodowość, co to jest ojczyzna i czem mogą być i powinny narody w budowie Królestwa bożego na ziemi; on dopiero wpoił w nas wiarę, że Pan Bóg, kiedy myśli o naszej ziemi, to myśli narodami.

Drugą zasługą jest, że uniezależnił moralność od poziomych haseł dobrobytu, że ją wyniósł na niebywałe przedtem, idealne wysokości, że oparł jej nakaz nie na interesie osobistym, czy społecznym, ani na chłodnem rozumowaniu, które nigdy nie dowiedzie, że trzeba być moralnym, tylko na wyższym od wszystkich interesów i rozumowań głosie jakieś irracyonalnej cząstki duszy, która woła: „Możesz, boś powinien", „Idź i czyń"!

A trzecią zasługą jest, że on dopiero w duszach ludzkich, w których zimne oświecenie zgasiło i zdusiło płomień uczuć religijnych, rozniecił go na nowo, że te uczucia uniezależnił od intelektu, jako odrębne, wielkie i święte królestwo duszy ludzkiej, z którego ona czerpie wiarę w życie często wbrew intellektowi i wbrew strasznej rzeczywistości i z którego bierze siły do walki w imię najwznioślejszych ideałów narodowych i ogólnoludzkich. Bez romantycznej wiary w wartość życia, bez romantycznego zapału, bez romantycznego idealizmu — żyćby nie warto; bez tych skarbów nietylko, jakby powiedział Asnyk,

> Maleją pieśni pośród nas,

ale także

> I pierś maleje człowiecza.

Bo jedynie ten, kto te skarby posiada, będzie walczył o żywą prawdę

> I nieśmiertelną życia treść
> Dobędzie z prochu i kału,
> I rzeczywistość zdoła wznieść
> Za sobą do ideału.

A jeżeli nie zdoła? To i cóż z tego? Żywą prawdą jest niekoniecznie tylko to, co się da natychmiast zrealizować; żywa pra-

wda długo, czasami przez wieki całe, żyje tylko w duszy ludzkiej, zanim wyleci z niej na świat i przyoblecze się w ciało. Otóż romantyzm nauczył człowieka kochać i taką żywą prawdę, prawdę serca, prawdę ideału, i walczyć o nią i wierzyć, że,

Choć nie dojdzie, chociaż padnie,
Przecie życia nie roztrwoni,
Bo najlepsza cząstka życia
W takiej walce i pogoni.

Warto choćby widzieć zdala
Ów zaklęty gmach z kryształu:
Warto, płacąc krwią i bólem
Wejść w krainę ideału.

I właśnie ta wiara, że warto, to najwspanialsza spuścizna po romantyzmie, spuścizna królewska i — nieśmiertelna.

Ign. Chrzanowski.

Z Małopolski Kazimierzowej.

(Nowe przyczynki do dziejów kultury polskiej w XIV. wieku).

Po Karolu Szajnosze, który w tak mistrzowski sposób w swem dziele „Jadwiga i Jagiełło“, oraz w paru mniejszych szkicach [1]) odmalował tło historyczne i kulturalne XIV. stulecia, tykać się na nowo tych czasów, zarozumiałością jest do pewnego stopnia i śmiałością. Jednakowoż badania szczegółowe od czasów Szajnochy nieco znów postąpiły, niejedno wyjaśniły i odmiennie wyświetliły (tu mianowicie badania ks. Fijałka i prof. Brücknera); to też jedynie dało nam ochotę pisania na nowo w dawnej materyi. Odsyłamy więc ciekawych całego obrazu do tych znakomitych rozdziałow Szajnochy: „Ziemia“, „Naród“, „Wielkopolanie“, „Śluby haimburskie“, „Przyjście Jadwigi“, „Kraków“, „Wilhelm“ i „Światło“, oraz do mniejszych, ale niemniej ciekawych miniatur tegoż pędzla (obacz w przypisku), a sami tylko, ostrożnie i starannie, jak renowatorzy starych malowideł, niektóre barwy wyblakłe silniej pociągniemy, a tu i owdzie parę rysów dodamy.

Tematem niniejszej pracy będzie Małopolska, najruchliwsza i najbardziej postępowa z wszystkich ziem Korony. Już za czasów Kazimierza Sprawiedliwego i mistrza Wincentego szczycąca się tym prymatem, w XIII. wieku przechodzi ona ciężkie chwile, oświetlona łuną pożarów tatarskich i krwią męczenników a bohaterów skrapiana, ale mimoto po licznych klasztorach wydaje świętobliwe gromady zakonnic i mnichów, każe i śpiewa w ojczystej mowie (kazania Świętokrzyskie, Bogurodzica), a wahając się między niemczyzną a polskością, szarpana buntem krakowskim, bujna, ruchliwa,

---

[1]) „Wiek Kazimierza Wielkiego“, „Siostra K. W. we Włoszech“, „Wojna o cześć kobiety“ „Djabeł wenecki“.

pełna życia i gwaru wstępuje w progi nowego stulecia. Z drugiego dziesiątka tego nowego wieku pochodzą dwa cenne zabytki małopolskie, aba świadczące o żywszym ruchu umysłowym, dozwalające rozejrzeć się po tej ziemi ze stanowiska duchownego i pasterskiego, do tego oba niewyzyskane jeszcze, a tem szacowniejsze. Są to statuty synodalne biskupa Nankera i z tychże lat pochodzący poemat łaciński „*Antigameratus*",

Ponieważ oba wyszły z pod duchownego pióra, zatem nie dziw, że stosunkom Kościoła i przedniego stanu duchownego najwięcej uwagi poświęcają. O znaczeniu i społecznej przewadze duchowieństwa sporo już napisał Szajnocha, niemniej o świeckich obyczajach ówczesnych prałatów, ich ochocie do śpiewu, napitku i płci białej. Nie myślimy tu nowemi awanturami go dopełniać: źródła nasze są rodzaju zupełnie innego. Boć statuty Nankera, któremu zawdzięczamy budowlę gotyckiej katedry na Wawelu, to całe „kompendyum teologiczno-prawne i moralno-pasterskie, pierwsze w Polsce, które normowało w formie kodyfikacyi całość obowiązków duszpasterskich" [1]). Mamy je pod ręką w nowem wydaniu krakowskiem [2]).

Obok tego czelnego pomnika ustawodawstwa kościelnego staje inny, nie mniej w swym rodzaju ważny zabytek, mianowicie łaciński poemat, słynący pod nazwą „*Antigameratus*" [3]).

Napisany on w trudnych „*versus differenciales*", w których te same słowa powtarzają się w różnem znaczeniu. Z chrzęstem i grzechotem swej wierszowanej zbroi, niby r a k (Recke) wojowniczy, z rytmicznym podźwiękiem synonimów wyjeżdża Antygamrat z średniowiecznego Krakowa na bój z wszelką zdrożnością, obiega daleko całe Niemcy, ba nawet szatę niemiecką raz przywdziewa [4]). Nie dla formy ciekawej tu o nim wspominamy, lecz dla treści, jak zobaczymy, Nankerowym zapatrywaniom pokrewnej, bo tak samo reformacyę obyczajów, grzechów okiełznanie oraz życia unormowanie za cel sobie stawia.

---

[1]) Ks. Dr. Fijałek.

[2]) Ks. Dr. Jan Fijałek, „Najstarsze statuty synodalne krakowskie biskupa Nankera 1320 r." Kraków 1915.

[3]) Wydany dotąd tylko w XVI. wieku, nowe wydanie przygotowuje w Niemczech Dr. Habel. Tekst czerpaliśmy z tego druku szesnastowiecznego, oraz rękopisu monachijskiego 7678.

[4]) Tłómaczenie niemieckie w Monachium, wiek XV. cod. lat. 19818.

O tym ważnym pomniku Szajnocha wspomina tylko pobocznie tam, gdzie mówiąc o ubóstwie życia umysłowego w Polsce przed założeniem akademii, przytacza kilku rodaków, słynących za granicą, a mianowicie w Wrocławiu jakiegoś Widwina. Dziś wiemy [1]), że nazywał się Frowinem i był najpierw scholastykiem skalmirskim (1322), potem plebanem w Sączu (1330). Osoba autora, treść poematu, ciekawa forma, wszystko zasługuje na obszerne rozpatrzenie, czem się w najbliższym czasie zajmiemy.

Siedzibą Frowina były miasteczka małopolskie, sposób zapatrywania się na życie ściśle duchowny, sympatye dla rycerstwa niewielkie, tendencye porządkujące i hierarchizujące, słowem, jeden to ze stronników i współpracowników Kazimierzowego gospodarstwa. Nanker również był jednym z nich: murował i prawa spisywał. Obok niego jawi się Frowin, scholastyk i pleban, może z rodziny niemieckiej, umysł prawniczy, moralizujący, porządkujący — ciekawem np. że ten Frowin w dokumentach współczesnych występuje najczęściej w roli arbitra i sędziego w przeróżnych sporach i kwestyach wątpliwych.

Nanker i Frowin przedstawiają zatem w młodem państwie „króla krakowskiego“ dążności porządkujące, konstrukcyjne, utrwalające, Kazimierzowe. Naturalnie, że u Nankera jako prawodawcy i głowy kleru krakowskiego ta czynność porządkująca i organizująca rozciągała się przeważnie na urzędowe jak i prywatne życie duchowieństwa. Frowinus zaś ze swej plebanii sądeckiej zaglądał także w zakamarki życia domowego mieszczan lub chłopów. O tych niższych piętrach średniowiecznego państwa stanowego pomówimy później, teraz zajrzymy do obszernych hal i komnat stanu duchownego, gdzie za rządów Nankerowego pastorału zapanowały nowe porządki.

Odpowiednio do centralizujących i porządkujących tendencyi biskupa Nankera, statuty jego, wśród kościołów rozsianych po całym obszarze dyecezyi, na pierwszem miejscu stawiają wawelski, katedralny. On to miał najpierwszy rozpoczynać wieczorne dzwonienie, a żaden z kościołów miejskich czy podmiejskich nie mógł go w tem wyprzedzić. W katedrze też dla całego Krakowa świece woskowe na Gromniczną, a gałęzie „palmowe“ na Palmową się

---

[1]) Prof. Al. Brückner, „Średniowieczna poezya łacińska w Polsce“, Kraków 1892—1894 (Rozpr. Ak. Um. Krak. fil. XVI, XXII, XXIII.

święciły. Aby zaś świątyni tej przysporzyć jeszcze blasku, podjął biskup dzieło, mające sławę jego utrwalić, wznosił gmach nowy gotycki, a grzywny, które ściągano za przeróżne przekroczenia, przeznaczone były *„ad opus maioris ecclesie“*.

Co do wyglądu tych Łokietkowych i Kazimierzowych kościołów, mało z nankerowych statutów możemy wyczytać; donoszą one tylko o białych ręcznikach na ołtarzu, pranych conajmniej dwa razy do roku. Niezwykłym trochę, ale charakterystycznym jest nakaz, aby rektorzy i patroni nie śmieli umieszczać w kościele koni, bydła lub sprzętu domowego.

Duchowny siedzący na prebendzie — na co miał dokument biskupi z pieczęcią — powinien wedle Nankera chodzić w tonsurze, wystrzegać się dziobatych trzewików, spodni paskowanych albo „w szachownicę“ lub też czerwonych a zielonych, tak samo nie powinien wychodzić na widok publiczny w szatach pasiastych, przedzielanych *(mi-parti)* lub zielonych. Broń dozwolona tylko w podróży. Naogół ten dział kostyumowy w porównaniu z innemi statutami, np. budzińskiemi (1279) bardzo jest szczupły.

Energicznie zato bije Nankerus w inną stronę: otóż po całej dyecezyi, jak sam powiada, duchowni trzymali u siebie niewiasty i nałożnice, po upływie dwóch miesięcy najpóźniej, jak statut nakazuje, należy je wypędzić.

Obszernie zajmuje się Nanker duszpasterstwem, osobliwie szafarstwem sakramentów i liturgią. Przy chrzcie mowa o całkowitem ponurzaniu dzieci (toć i Litwę tak jeszcze a nie inaczej chrzczono); tylko w wyjątkowych wypadkach należy poprzestawać na oblaniu głowy. Mały obrazek daje się utworzyć z rozdziału o komunii chorych, gdzie ksiądz w komży i stule ze światłem oraz dzwonkiem spieszy do konającego, a pobożni — w nocy ze światłami — mu towarzyszą.

Reszty nauk, nakazów i przestróg nie tykamy, jako zbyt mało może ogół zajmujących; wspomnimy tylko o przepisach o zabarwieniu nieco narodowem, które spoistość i jedność państwa a Kościoła popierały. Tak przy każdej Mszy świętej miano odmawiać kolekty za króla i biskupa, albo choć zwrot: *„et famulos tuos regem nostrum et episcopum una cum sibi creditis alias commissis ob omni adversitate custodi“*. Kościół polski, zachowawszy w burzliwej epoce podziałów piętno wybitnie narodowe i patryotyczne, pod koroną piastowską w dalszym ciągu piękne

te tradycye pielęgnował. Pośród świąt, tak licznych w owym wieku, miejsce niepoślednie zajmuje dzień „pasterza owczarni pańskiej i męczennika, świętego Stanisława“, oficyalnego i prawowitego patrona Korony, „który życiem a męczeństwem, znakami, cudami a przepowiedniami miasto nasze i dyecezyę krakowską cudownie ozdobił“.

Inny przepis także wart przytoczenia: „Ponieważ wiemy z doświadczenia, że tylko czasu pokoju czczą ludzie sprawcę pokoju, nakazujemy, aby po wszystkich miasta naszego i dyecezyi kościołach około zachodu słońca w dzwony po trzykroć uderzono, iżby na głos dzwonu wierni w Chrystusie do tego, który z świata tego odchodząc uczniom swym pokój pokój pozostawił, mówiąc: „Pokój zostawuję wam, pokój mój daję wam“, o pokój oraz za króla naszego pokorne prośby zanosili, aby w pokoju i spokojności pod jego panowaniem żyli i z nim razem do rajskiego dobili żywota... Wszem wobec zaś i każdemu z osobna, który tak się pomodli, a szczerze pożałuje i spowiedź odbędzie, dziesięć dni odpustu udzielamy, polecając zarazem, aby plebani w niedziele i święta lud o tem dokładnie po polsku pouczali“.

Przytoczyliśmy ten przydługi nieco ustęp, bo świadczy on o żywem dążeniu do spoistości i jedności w państwie Łokietkowem, świadczy o zacnej współpracy duchowieństwa nad zjednoczeniem Korony, a niejeden może błądząc okiem po tych słowach, pomyśli żałośnie: „kiedyż, dzwony pokoju, znów rozkołyszecie się nad polskim łanem?“

A teraz do Antygamerata. Duchownym daje on te same nauki co Nankerus. Kleryk winien strzydz włosy nad uszami, nosić szaty stosowne, pilnie śpiewać psalmy i chwalić Pana „kantyczkami“, bo temu kto śpiewa liturgiczne dramaty (*„dragma“*), temu dostanie się zapłata niebiańska (*„drachma“ !!*), zaleca także łzy wylewać przy śpiewie, bo to się Chrystusowi podoba. Dyabła należy się wystrzegać, bo ów pilnie zapisuje na tabliczce złe słowa i uczynki twoje, a potem piekielnemi kajdanami cię skuje i okrutnie torturować cię będzie — bardzo to pachnie magdeburskim procederem na krakowskim czy sądeckim ratuszu. Za naukami „ksiąg Katonowych“ (*disticha Catonis*) kobietom niechaj z drogi uchodzi, za zmarłych kolegów niechaj modły odprawia, a umierając niech spisze porządny testament.

Drugi stan średniowieczny, rycerstwo, w XIV. wieku dobrze już wybujałe, ukazuje się w Antygamratowem zwierciedle raz tylko, a to w postacie *„praedones i fures“* — zbójów i złodziei. Tym powinien książę zamki rozwalać, karać ich szubienicą, przeciwko pladze tej miasta opasywać murami, kasztele stawiać i pokój wśród ludu stanowić. Że potrzeba była po temu, o tem pouczają nas dziejopisowie, donosząc, że młody król, gdy po Łokietku na tron krakowski wstępował, zaraz „wszystkich, którzy rozbijali lub kradli, choć była to szlachta, kazał ścinać, topić i głodem morzyć“ [1]), karał ich „szubienicą, poćwiartowaniem, kołem, zaduszeniem, oślepieniem, wygnaniem i mieczem“ [2]), tak iż współcześni nadali mu honorowy przydomek „złych, zbójów, gwałtowników i rabusiów prześladowca najsroższy“.

Dziesięć wierszy poświęca też sędziemu, zalecając mu sądy sprawiedliwe; bez przekupstwa, bez stronniczości, sprawiedliwie winien dzierżyć wagę na swem wysokiem stanowisku.

Wszelki chaos i bezprawie wstrętne były Frowinowi, kochał on porządek i prawo, statek i organizacyę miejską. Bo miejskim był duchownym i miastem najwięcej się zajmował. Rzeczą jasną, że ustrój miejski z szybszym obrotem monety, większem skupieniem ludności i żywszem tempem życiowem był glebą korzystną dla różnych zbytków i występków. *„Burgenses“*, mieszczuchy i łyki, szydzi Walter z Châtillonu (wiek XIII.), czczą brzuch, a prałatem ich jest kufel, znają się na figlach i kostkach, a dziewki oddają prostytucyi. To też walny dział Antygamerata, poświęcony gamractwu, zatem zbytkom w ubiorze i sposobie życia, ma szczególnie miejskie stosunki na oku.

Nosi Antygamrat na sobie ślad wielkiej przemiany w stroju europejskim, która nastąpiła z początkiem XIV. wieku, metamorfozy szlachetnego stroju pierwszej połowy średniowiecza na pstrokaciznę późniejszą, początek mody europejskiej i różnych szaleństw i wybryków z panowaniem jej związanych. Podobnie jak moda kobieca w pierwszym dziesiątku dwudziestego stulecia po wielkich miastach nabrała widocznie półświatkowego zacięcia, tak i ówczesne stroje poczęły wzorować się na szatach demimondu średniowiecznego. Wiele szczegółów, które w wieku XIII. jeszcze cha-

---

[1]) Janko z Czarnkowa.

[2]) Długosz.

rakteryzują ubiór rybałtów, goliardów i wędrownych (wycinanki w zęby), w następnym przechodzi na własność szerokich kół społecznych.

Główne punkty, o które trąca autor nasz, to: włosy niestrzyżone jak u leśnej bestyi, bródki przystrzygane na wzór kozich, kapelusze, sterczące by miechy kowalskie i kapelusze żydowskiego kroju, ząbkowanie sukien na brzegach, „czem upodabnia się gamrat do aktora *(histrio)*“, ogołacanie bar, ścieśnianie i sznurowanie szat, rękawy do psich uszów podobne. Pas być ma na obu biodrach, nie za nisko, przy długim płaszczu wysoki kapelusz, gdy płaszcz kusy, nakrycie głowy niskie, opadające na plecy. Trzewiki owe sławne dziobate, w roku 1233 w statutach Fulkona już wymienione, we Francyi *à la Poulaine*“, w Anglii „*Crackowes*“ zwane, przystają tylko baranom wedle Antygamrata nauki.

Gamrat krakowski lubuje aię także w recytowaniu sprośnych piosenek; na wzór goliarda „wyje nowe piosenki“. Są to widocznie owi „rymarze“, których Kazimierz Wielki surowym nakazem wypędził z wesel krakowskich, gdzie lubieżne szansony śpiewali. Cała ta hałastra mimów, jokulatorów, histrionów i szpilmanów, włóczących się po tabernach czyli gospodach, grających w kości i zapijających się, rozbiegała się widocznie wtedy po miastach, grodach i jarmarkach polskich.

Wreszcie dalsze przepisy Antygamrata zaglądają do tajemnic komory i sypialni, pouczają o małżeństwie i miłości małżeńskiej, o sposobie obchodzenia się ze służbą i z lubością dają naukę obyczajnego stołowania. Na końcu zaś obfity pęk luźnych, ogólnych przepisów, często mądrych, często banalnych lub przesądnych; blade w treści, ale drastyczne w stylu i sposobie opowiadania.

Na tej tablicy malowanej tak zamaszyście i jaskrawo znajdujemy jeszcze jedną rubrykę wykonaną z ojcowską troską a pieczołowitością — jest to część Antygamrata poświęcona chłopkowi Kazimierzowemu. Zaleca chłopom proste a pożywne potrawy, odpowiednie ich zajęciu i warunkom życiowym. Chwali bardzo hodowlę owiec, bo mleko owcze przydać się może; dla czeladzi dobre ryby, fasola, mleko z serem. Roboty rolnicze tak rozkłada: w marcu ogród nawozić i zielsko plenić, w kwietniu sadzić pory (widocznie to nie dopiero włoszczyzna królowej Bony?), maj miesiąc miły dla wczasów, wieńce z róż i fijołków kłaść na głowę, grać na lutni, śpiewać i pląsać, w lipcu kosić trawę i zboże sier-

pem żąć, w nony lipcowe (koło 7-go, siedmnastowieczny Zawacki radzi 8-go i 13-go) sadzić rzepę, w sierpniu zwozić. Co do domostwa i obejścia: strzechy często poprawiać i płoty z mocnych kołków grodzić. Przy sprzedaży mierzyć wszystkim równą miarą, panu oddawać część najlepszą: bo otwiera ci bramę zawartą, o ile z podarkiem, kołaczem naprzykład („torta") przychodzisz. Osobliwa piecza należy się mieleniu; wartko obraca się wtedy młyńskie koło.

Antygamrat powtarza wiele ogólnych średniowiecznych nauk; niekiedy jednak zdaje się tworzyć zupełnie echo poetyczne Nankera, a w wyborze ustępów o sędzi, księciu, chłopach wydaje się głosicielem Kazimierzowych rządów. W historyi literatury średniołacińskiej tylko ze względu na oryginalność formy zasługuje on na baczniejszą uwagę, w dziejach literatury i kultury polskiej stanowi ważny rozdział z powodu treści wprowadzającej nas tak żywo do krakowskiej ziemi przed Kazimierzem jeszcze, kiedy mianowicie w kołach kościelnych odzywały się już głosy domagające się „Kazimierzowej gospodarki".

Niedawno z powodu jubileuszu Sienkiewicza powiedziano, że „lud polski jest osiadły, trzeźwy, realny, budowczy; nie znosi chaosu; z kamienia robi chleb". Ten świeży zapach chlebowy wiejący z kart Szajnochy, unoszący się nad wiekiem Kazimierzowym i dziś ponad swędem pożarów i zgorzelisk panuje. Oby i dziś wrychle odezwały się te dzwony pokoju, niegdyś po burzach podziałowych zwiastujące gospodarcze rządy króla chłopów. Oby i w nich brzmiała zapowiedź jakiegoś lepszego, jaśniejszego, gospodarczego jutra, oby i one głosiły czasy pilnego krzątania się, murowania i piastowania i wołały donośnie owe kojące imię dobrej zapowiedzi, — imię na zwornikach zamku wawelskiego wykute a rytmem dzwonnym kołysane:

„KA—ZI—MI—RUS".

Teodor Tyc.

O pogłębienie naszego patryotyzmu.

(Rozdział z wychowania narodowego.)

(Dokończenie.)

V.

Jeżeli się z materyału historycznego i literackiego wyeliminuje pierwiastki jednostronności, względnie te, które mają znaczenie bądźto tylko indywidualno-autorskie, bądź też są związane z pewną chwilą rozwojową, albo też przez stosowne uwagi sprowadzi się je do właściwej miary, to można przyjąć, że ten materyał ma znaczenie ogólno-narodowe, a wyobrażenia, nabyte drogą opanowania tego materyału, posiadają charakter ogólnonarodowy, więc zastosowany do sfery uczuciowo-wyobrażeniowej wszystkich Polaków. Wyobrażenia, tak wytworzone, nie mogą prowadzić do rozdźwięków w pojmowaniu ogólnonarodowych zadań i celów, a przez to z pewnością osłabiają, a nawet wprost niweczą partyjne tarcia w pewnym zakresie, a przez to prowadzą do konsolidacyi opinii i dążeń narodu. Taki wynik mamy prawo nazywać pogłębieniem uczuć patryotycznych, ponieważ przez usuwanie i ograniczanie rozdźwięków i wzajemnej walki uczuć poszczególnych jednostek ogólna siła i napięcie tych uczuć wzrasta; siły bowiem, marnowane na wzajemne zwalczanie się, wyładowują się w tym samym mniej więcej kierunku.

Atoli rzeczą jest oczywistą, że pewnych rozdźwięków, pewnych tarć z zakresu wyobrażeń historycznych i literackich absolutnie nie można usunąć. Z jednej strony bowiem jest to związane z ich naturą, z drugiej zaś strony częścią z przypadkowem powikłaniem przyczyn i skutków, a nawet z wypadkami poszczególnymi, które w gruncie rzeczy nie stoją w żadnym ściślejszym

związku z właściwemi historycznemi lub literacko-historycznemi zdarzeniami.

Przykładowo wskażę tylko choćby na to, jak w naszych poglądach aktualno-politycznych niejednokrotnie bardzo ważną rolę odgrywały przekonania bieżące polityków na to, czy Polska, jako państwo, upadła skutkiem tego, iż się zwróciła na wschód, zaniedbując swoje kresy zachodnie, czy też skutkiem tego, że nie zorganizowała wystarczającego wału ochronnego na swej granicy wschodniej. Bez wątpienia, że jedno i drugie przekonanie ma coś w sobie prawdy i niewątpliwie, że najsłuszniejszą zasadą byłoby tu trzymać się łacińskiej maksymy *et ea facienda et illa non omittenda*. Ale właśnie do tej maksymy można było dojść tylko na podstawie jak najbardziej objektywnego badania, dla którego nie zawsze jednak były dane potrzebne dokumenty bądź to dla tego, że nie znalazło się dostatecznej ilości specyalistów, pracujących w danym dziale, bądźto dlatego, że te lub owe zdarzenia pozostały w ukryciu z najrozmaitszych powodów, między którymi nie ostatnie miejsce zajmował i ten, że strona druga nie ujawniała dotyczących materyałów, owszem nieraz je zazdrośnie kryła, lub, co gorsza, usiłowała uwagę od siebie odwrócić za pomocą odpowiednich i przykrojonych *ad hoc* publikacyi. Wynika stąd oczywiście, że historya wogóle nie może sobie wyrobić dostatecznie jasnych i uzasadnionych poglądów na wydarzania niezbyt dawne, choćby np. zaszłe przed półtora lub dwoma wiekami, jeżeli nawet już pominiemy przypuszczenie, że niektóre dokumenty wogóle mogą być zniszczone i to celowo, powtóre zaś przez różne przypadki (pożary, wojnę etc.). Wtenczas pozostaje tylko tak nieokreślona zasada busolą, jak: *is fecit, cui prodest*, która może czasem prowadzić do bardzo nawet fałszywych poglądów, a zatem i wniosków. Z powyżej wyłuszczonych powodów przekonania nabyte drogą historycznego badania, mają w sobie stale coś niepewnego, a przynajmniej przypuszczalnie niepewnego i zawsze właściwie musimy się liczyć z ewentualnością wyjścia na jaw dokumentów nowych, które mogą rzucić zupełnie nowe światło na to lub owo wydarzenie historyczne, zwłaszcza jeśli ono nie jest zbyt dawne. Z tego punktu widzenia największe znaczenie patryotyczno-wychowawcze posiadają te historyczne poglądy, które są niezależne od dokumentów zniszczalnych, a więc wogóle dział starożytności, oparty na wykopaliskach, na świadectwach językowych

i rasowych, na objawach kulturalnych i obyczajowych, wogóle na zjawiskach takich, w których ingerencya woli i celowych usiłowań ludzkich nic nie znaczy albo bardzo niewiele przynajmniej. A jeżeli już chodzi o historyę, udokumentowaną pisemnie, to przedewszystkiem tak odległe epoki winny tu wchodzić w rachubę, iż trudnoby żywić nadzieję, aby można było znaleźć zasadniczo ważne dokumenty, nieodkryte dotąd, którcby mogły zupełnie nowe światło rzucić na wydarzenia dziejowe. — Z powyższych uwag nie wynika bynajmniej, aby wyłączać zupełnie i zasadniczo nowsze okresy historyi narodowej z wychowawczego programu, wynika tylko to, że pierwszeństwo trzeba dawać ustalonym z wszelką pewnością poglądom, które swoją drogą przedewszystkiem dla starszych okresów dadzą się uzyskać. Zaś już od talentu pedagogicznego wykładającego zależy, aby i te starsze okresy życia narodowego i rasowego potrafił stosownymi łańcuszkami wyobrażeniowymi związać z aktualnością codziennego życia, nawet dzisiejszego, bieżącego. W ten sposób materyał wykładany nie będzie posiadał charakteru zasuszonego pergaminu o stęchłym zapachu, ale bezpośrednią aktualność i żywość, podniecającą z dostateczną siłą intelektualny interes słuchaczy.

Mutatis mutandis dałoby się to samo mniej więcej powiedzieć i o czysto historyczno-literackim materyale. Jednakże materyał literacki, t. j. utwory napisane są jeszcze bardziej i w znacznie wyższym stopniu zależne od poszczególnych jednostek ludzkich i od przypadkowych wydarzeń, aniżeli zdarzenia z zakresu polityczno- i socyologiczno-historycznego. Skutkiem tego literatury należy używać ze znacznie większą ostrożnością do oryentacyi uczuciowo-patryotycznej, aniżeli historyi. Weźmy choćby taki przykład, jak sięgającą najwyższych wyżyn geniuszu ludzkiego „Improwizacyę“ Adama Mickiewicza i związany z nią kompleks wydarzeń, przedstawiony w „Dziadach“. Otóż każdy dobrze wie, że jej wielkie znaczenie polega na typowości przedstawionych zajść. Ale równocześnie nikt nie może zaprzeczyć, że wyniesienie na ten szczyt kółka młodzieży wileńskiej — jest przypadkowe i to o tyle przypadkowe, że wśród tej młodzieży znalazł się właśnie taki literacki geniusz twórczy, jak Adam Mickiewicz. Gdyby go tam nie było, wydarzenia wileńskie przeszłyby podobnie, może nawet podobnie niepostrzeżenie, jak tyle innych wydarzeń, może jeszcze brutalniejszych i bardziej w swym przebiegu druzgocących tak dla mło-

dzieży, jak i dla całego narodu. A wydarzeń takich jest cały szereg, że przypomnę tylko sprawę Towarzystwa Patryotycznego w Warszawie i losy Łukasińskiego, działalność Murawiewa-Wieszatela, sprawę unicką w Chełmszczyźnie, rok 46., rok 48. w Poznaniu itp. A wiele jest objawów zaniku naszych wpływów narodowych i objawów ucisku narodowego, na które patrzymy z mniej lub więcej melancholijnym gestem lub uśmiechem nawet, obwijając nasze sumienie narodowe w bawełnę rozumowań na rzecz wyższości cywilizacyjnej i postępu — ba! nawet znajdują się i takie umysły, które w tem zadowolenia szukają, iż zawszeć lepiej przejść w wyżej cywilizacyjnie stojący kompleks etniczny, aniżeli w niższy. Taki pogląd staje właściwie już poza nawiasem utrzymania narodowej indywidualności w każdym wypadku i za wszelką cenę; dla tej indywidualności bowiem, samej w sobie, jest rzeczą obojętną, w czem ona zniknie, czy w całości cywilizacyjnie wyższej, czy też niższej. I jedno i drugie kończy się dla niej śmiercią. Nie jest to tylko tem samem dla jednostki, dla rodziny może i dla cywilizacyi ludzkiej wogóle; sądy zatem takie wykraczają już właściwie poza granicę polityki narodowej, a wchodzą na teren jednostkowy lub ogólnoludzki, a więc nie są sądami patryotycznymi, przynajmniej w ścisłem tego słowa znaczeniu. Ponieważ zaś patryotyzm jest tak związany z psychofizycznemi cechami człowieka, że bez niego, w jakimkolwiek kształcie, człowiek obejść się nie może, więc możnaby twierdzić, że w sądach takich, jak powyższe, mieści się do pewnego stopnia teoretyczne zrzeczenie się jednego patryotyzmu na rzecz drugiego.

VI.

Pozostaje nam do omówienia najważniejszy zakres wyobrażeń, na których tle dadzą się szczepić patryotyczno-uczuciowe elementy i to nie w sposób mniej lub więcej sztuczny, ale w sposób jak najbardziej naturalny, bo zakres tych wyobrażeń jest samą naturalną podstawą i istotą poczucia narodowego, jego najważniejszą treścią przyrodniczo-psychologiczną, historyczną a zarazem i fizyczną. Mówię tu o grupie wyobrażeń i pojęć filologiczno-językowych. Wiadomo, że w dzisiejszym okresie cywilizacyjnym zewnętrzną odznaką, a zarazem spoidłem i więzią narodową społeczeństw jest ich język. Ma on treść czysto fizyczną o tyle, że do jego wytwarzania potrzeba pewnej pracy fizycznej, czysto mię-

śniowej i nerwowej, zaś fale akustyczne, wytwarzane tą pracą, oddziaływują nietylko na organa mówne i słuchowe osoby mówiącej, ale w pewnym stopniu na cały jej organizm, zwłaszcza na mózg, głowę i wogóle na te części ciała, najważniejsze zresztą, które leżą w sąsiedztwie narządów mównych, t. j. ust, nosa, krtani, płuc i przepony. W pewien sposób oddziaływać muszą też te fale i na osobę słuchającą, nietylko na jej narząd słuchowy. Wprawdzie oddziaływania te nie są widoczne, ale nawet zwykłe codzienne doświadczenie poucza, że przyłożywszy dłoń do ciemienia osoby, mówiącej głośno, odczuwamy lekkie drżenie pod ręką, stwierdzając w ten sposób, że cała głowa drży. To drżenie przenosi się także w pewien sposób na plecy, na okolicę serca itd. Jest to zjawisko wprawdzie tak zwykłe i tak codzienne, że nie zwracamy na nie najmniejszej uwagi. Ale nie znaczy to, że ono pozostaje bez wpływu na biologiczne funkcye organizmu ludzkiego. Wprawdzie rzeczy tej nikt bezpośrednio nie badał, o ile ja wiem, niemniej przeto istnieć ten wpływ musi, a przypuszczenie to wyda nam się tem konieczniejszem, im dokładniej zwrócimy uwagę na to, że przecież mówimy wciąż, codzień, bardzo często i to dłużej lub krócej. Znana zaś to jest w fizyologii zasada, że drobne wrażenia fizyczne sumują się i że np. stokrotne drobne i nic naprzód nieznaczące ukłucia szpilką zdolne są wywołać to samo wrażenie bólu, jakie otrzymujemy przy jednorazowem silniejszem ukłuciu. Podobnego zjawiska należałoby się spodziewać i z ciągłego gromadzenia się wrażeń, mających swe źródło w wibracyach akustycznych ludzkiego głosu: jakieś zmiany muszą one z pewnością wywoływać, niewiadomo tylko nic, jakie i w jakim stopniu. Wynikałoby stąd, że, o ile fale akustyczne różnych języków są w swym składzie różne, o tyle i skutki ich oddziaływania na organizmy poszczególnonarodowe są różne, a co za tem idzie, i zmiany przez te skutki wywoływane. Może być, że to stoi w jakimś związku z temperamentem uczuciowym i z umysłowemi skłonnościami poszczególnych narodów.

Język jako psychofizyologiczna funkcya człowieka jest spoidłem, więzią narodową w podwójnem znaczeniu: *a)* w znaczeniu pozytywnem i *b)* negatywnem [1]).

---

[1]) Porówn. artykuły autora w „*Roku Polskim*" I. Kwiecień, zeszyt 3, str. 12—24. „O moralno-intelektualną jedność Polski" — i Maj, str. 57—75. „Tak zwany puryzm językowy a patryotyzm", rok 1916.

Pozytywnie spaja język członków tego samego organizmu narodowego w tak elementarnie widoczny sposób, że rozwodzić się nad tem dłużej byłoby rzeczą zbyteczną. Podkreślić tylko tu wypada niektóre specyalne momenty. I tak: ma on charakter najpowszechniejszego spoidła narodowego, bo obejmuje swymi więzami wszystkie warstwy i wszystkie umysły: ludzi najuboższych i najbogatszych, ludzi t. zw. niskiego i t. zw. znakomitego pochodzenia, ludzi artystycznie i naukowo wykształconych i ludzi surowych, wreszcie wiernych synów swego narodu z ludźmi wątpliwymi co do tego punktu, dorosłych i małych itd. Wprawdzie różnice wychowania, wykształcenia, smaku, towarzyskiego uzdolnienia, przynależności warstwowej i klasowej wyrażają się w języku, ale stale w ten sposób, że wspólności językowe różnych jednostek są stale większe, aniżeli różnice między niemi. Dzięki też tej swojej właściwości język staje się najwidoczniejszym wyrazem jedności narodowej z chwilą zniszczenia instytucyi państwowych i społecznych, obejmujących przymusowo ten lub ów naród. Skutkiem tego staje się on ofiarą prześladowań rządów, zamierzających przeprowadzić wynarodowienie jakiegoś szczepu. — Żadne zwyczaje i obyczaje, żadne przekonania czy też wyobrażenia tak dobrze artystyczno-literackie, jak religijne i filozoficzne, historyczne, jak i polityczne, nawet krajoznawcze nie wykazują tyle międzyjednostkowych wspólności, co grupy wyobrażeń językowych. Żadne wreszcie powyżej wymienione elementy nie są tak zwykłe, codzienne, tak koniecznie niezbędne we wszelkich okolicznościach i wypadkach życia, jak elementy językowe, począwszy od najbardziej trywialnych a skończywszy na najbardziej wzniosłych i idealnych porywach.

Powtóre i to jest rzeczą najważniejszą, język narodowy staje się instrumentem unarodowienia wszelkiej nauki i sztuki, wszelkiej kultury w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu. Jest to rzecz wiadoma, że nie da się poprostu przytoczyć dwóch nawet wyrazów z dwu lub więcej języków odrębnych, któreby miały zupełnie to samo znaczenie we wszystkich wypadkach, w których się używają w jednym i drugim języku. Wprawdzie wszystkie elementy znaczeniowe, wchodzące w skład języków, stojących na mniej więcej tym samym stopniu cywilizacyjnego rozwoju, są sobie w ogólnych zarysach równe, jeżeli je weźmiemy pod uwagę w swej całości, ale rozkład i rozdział tych elementów na poszczególne wy-

razy nie jest ten sam. Każdy mianowicie wyraz jest jakgdyby naczyniem, zawierającem pewną treść wyobrażeniową, czasem nawet bardzo różnolitą i niewspółmierną. Gdy zatem treść kulturalną ogólnoludzką przelewamy w nasze wyrazy, to ją wiążemy z ogromną masą najrozmaitszych zawartości wyobrażeniowych drogą znaczeniowych, formalnych lub uczuciowych asocyacyi. I dopiero, gdy ta treść w zupełności wsiąknie w te naczynia-wyrazy i ulegnie silnemu związaniu asocyacyjnemu z ich dotychczasową zawartością, dopiero wtedy możemy mówić, żeśmy sobie tę treść kulturalną przyswoili. Drogą nowonawiązanych asocyacyi uwaga nasza kieruje się na poszczególne kompleksy wyobrażeniowe nowonabytej i starej naszej treści kulturalnej i w ten sposób może w niej spostrzegać szczególne zjawiska, niezauważone przez umysły innoplemienne, których język nie nastręczał tych właśnie samych asocyacyi, co język nasz. Ta właśnie okoliczność tłómaczy znakomicie, skąd się biorą specyalne kierunki odkrywcze i wytwórcze u poszczególnych narodów, dlaczego mamy prawo i obowiązek mówić o narodowej nauce i sztuce. Przytem nie należy zapominać o tem, że źródła twórczości językowej i artystycznej są te same w zasadzie, badania zatem językowe w obrębie własnego języka wpływają ze swej strony na pogłębienie artystycznych wartości ogólnonarodowych i to nietylko w poezyi. Nie jest też oczywiście przypadkiem, że największy nasz talent artystyczno-fantazyjny — Juliusz Słowacki, jest równocześnie najbieglejszym stylistą. Ten sam punkt widzenia należy zastosować i do Henryka Sienkiewicza. Ta właśnie treść wyobrażeniowa, złożona w wyrazach, wpatrywanie się w jej asocyacyjne związki i rozprzestrzenienia wprowadziła ich na te wyżyny poetycznego czaru i wdzięku, który wieje z ich prac literackich. Naturalnie, że te punkty widzenia nie dotyczą tylko ściśle t. zw. języka literackiego, ale i dyalektów, nawet żargonów, obfitujących niekiedy w bardzo śmiałe i artystycznie niezwykle interesujące zestawienia. Trzeba je tylko umieć wydobyć. Dla przykładu wspomnę tu tylko niektóre wyrażenia morskie z dyalektów kaszubskich, np. g ę s t y wiatr — burzliwy, silny wicher morski, uderzający co chwila gwałtownymi podmuchami, albo b i a ł a w o d a — woda, wzburzona do dna podczas burzy i skutkiem tego mętna itd. Te wyrażenia są obce językowi literackiemu i dlatego odpowiednie ich zużytkowanie jest jego wzbogaceniem.

Dotychczas niestety byliśmy przeważnie społeczeństwem recypującem owoce kultury, to też przeważnie trzeba było mówić o przelewaniu obcej, lub co najwyżej ogólnoludzkiej kultury w nasz język. Zdarzają się jednak wypadki, że niektóre objawy kulturalne wyrosły wprost z naszego gruntu, z naszych wyrazów i częstokroć przelała się ich treść w wyrażenia obce, albo też przeszła do obcych języków w naszej językowej szacie. Tak np. nazwa tańca m a z u r, nazwa u ł a n a itp., niekiedy zaś nasza treść kulturalna została przelana w wyraz obcy, który i my samiśmy sobie przyswoili np. p o l o n e z = franc. *(danse) polonaise*. Jest to objawem, jednym z wielu, naszej manii do obcych języków. Wiadoma rzecz, że ich opanowanie jest bardzo korzystnem zjawiskiem społecznem, politycznem i cywilizacyjnem, o ile chodzi o nasz stosunek do obcych. Jednakże u nas niejednokrotnie używanie obcych języków nie jest i nie usiłuje być wyrazem naszego stosunku do obcych, ale jest wykładnikiem różnic między nami, jest wyrazem stosunku warstwy do warstwy w obrębie własnego narodu. Mianowicie długi czas, a i teraz także wcale często, posługiwanie się obcym językiem miało być odzwierciedleniem wielkiego zresztą odstępu kulturalnego pomiędzy naszą warstwą najwyższą, względnie wogóle wykształconą, a warstwą średnią, względnie zupełnie nieukształconą. Nie da się zaprzeczyć, że płynęły stąd pewne korzyści dla warstwy najwyższej: patrzono na nią jako na coś istotnie wyższego właśnie z powodu posługiwania się francuzczyzną, czy też angielszczyzną przez jej członków. Ale te korzyści, zaspakajające przeważnie, a może i wyłącznie tylko próżność osobistą, towarzyską lub warstwową, miały i poniekąd mają swój fatalny równoważnik w niekorzyściach i to w niekorzyściach znacznie większych od korzyści uzyskiwanych. Niekorzyści te nie są jednego rodzaju: są one częścią ogólnoludzkie i ogólnonarodowe, częścią tylko dotyczą naszej najwyższej warstwy i na jej losach fatalnie się odbijają. Te niekorzyści płyną stąd, że jednostki, kształcone od dzieciństwa w obcym języku, nawiązują od dzieciństwa asocyacye obcojęzykowe, które o tyle tylko mają dla nich wartość, o ile w obcojęzykowem otoczeniu cywilizacyjnem są do użycia, a ponieważ ostatecznie życie tych jednostek przeważnie jednak upływa w kraju, więc giną dla nich bezpowrotnie i bez korzyści, gdyż nie w otoczeniu obcojęzykowem działalność tych jednostek się rozwija. Natomiast asocyacye językowe własne nie osiągają u nich tego sto-

pnia doskonałości, jakiby osiągnąć mogły, gdyby były z wszelką starannością pielęgnowane. Skutkiem tego te jednostki nie wyrastają z naszego gruntu cywilizacyjnego w całej pełni, brak im bardzo licznych asocyacyi rodzimych, to też i ich rozumienie się z otoczeniem rodzimem bywa nieraz znacznie gorsze, aniżeli z otoczeniem obcem. To rodzi nieufność i brak poparcia ze strony warstw niższych, a tego następstwem bywa słaby wpływ — polityczny, socyalny i osobisty naszych warstw wyższych, które niejednokrotnie mniej znaczą, aniżeli pierwszy lepszy agitator, umiejący trafić do masy ludowej choćby tylko dzięki dobrze sobie znanym asocyacyom językowym. Ratują się też często nasze warstwy wyższe od tego upadku środkami, nie zawsze zalecenia godnymi, a to rodzi ze swej strony również fatalne następstwa. Czas zrozumieć niebezpieczeństwo, stąd płynące, i czas mu zapobiec: na wysługach bowiem obcych uzyskane znaczenie nigdy nie osięgnie tego stopnia siły, wpływu i pewności, co znaczenie oparte o silne stanowisko między rodakami, choćby w swoim powiecie tylko. Sienkiewicz to znakomicie zrozumiał i dał temu wyraz w swoich ostatnich powieściach.

Z drugiej strony słabe wrośnięcie w grunt rodzimy drogą asocyacyi językowych fatalnie się nieraz odbija w sztuce i w nauce. Warto tu zrobić ciekawe zestawienie stylu dwóch autorów: Z. Krasińskiego i Przybyszewskiego. Obaj pisali w językach obcych i obaj również po polsku, ale jaka różnica! Z. Krasiński nie odgrywa żadnej roli we francuzczyźnie: pisał nią, co najwyżej, średnio, natomiast Przybyszewski wniósł do niemczyzny pewne elementy stylistyczne świeże i nowe, które się wprost oznacza ze strony krytyków niemieckich, jako cechy polskie. Rzecz ta z pewnością stoi w związku z ich pierwiastkowem ukształceniem językowem i żałować wypada, iż Z. Krasiński tak mało wrósł asocyacyami w grunt rodzimy: talent jego byłby się znacznie lepiej rozwinął, jego postacie utraciłyby w wielkiej mierze ten międzynarodowo-bankierski pokost, jakim są okryte, a jego styl zamiast chropawych i rażących niezręczności językowych, odbijających w sobie jego obcojęzykowe asocyacye, dałby nam znacznie większą dozę wartości artystycznych i poetycznej suggiestywności.

Po trzecie wreszcie, nasze warstwy niższe, widząc stałe posługiwanie obcym językiem przez nasze warstwy wyższe, utożsamiają obcojęzykowość z wyższością społeczną i umysłową. Oczy-

wiście, że w ten sposób wynarodowienie językowe nabiera cech podnoszenia się w hierarchii społecznej w ich mniemaniu popularnego i niejedną z pewnością duszę utraciliśmy już na tej drodze indywidualnego ucywilizowywania się naszych warstw niższych. Wprawdzie odpowiedzialność za takie poszczególne wypadki niepodobna spychać na barki klas wyższych, jednak nie da się zaprzeczyć, że pewna część winy jest i po ich stronie.

VI.

O ile chodzi o powszechność i codzienność patryotyzmu, to, o ile te jego cechy można postawić w relacyi do języka i wytwarzanych przezeń skłonności, niezwykle pouczającem jest zestawienie patryotyzmu czeskiego z naszym. Ugruntowali czeski patryotyzm filolodzy i to przedewszystkiem na podstawie językowej (Palacký, Jungmann); innej bowiem podstawy poprostu brakło. Ale też jakże się on wspaniale rozwinął: objął najszersze warstwy ludowe, stał się jak najbardziej powszechnym i drobiazgowym, wytrwałym i spostrzegawczym, przybrał cechy solidarnego rugowania tego wszystkiego, co obce, a to stoi w bardzo interesującej zgodzie z purystycznemi dążnościami językowemi Czechów, wyrzucających z czeszczyzny bez miłosierdzia wszelki obcy wyraz, choćby w czysto mechaniczny i gwałtowny sposób! Jakże inaczej u nas. Nie brak nam wprawdzie może i szerszych idei, zręczniejszych politycznych pomysłów, ale w szczegóły i fragmenty naszego narodowego życia wciskają się obcy — tak, że nasze społeczeństwo składem swym różnolitym istotnie nieraz czyni wrażenie, jakby dzikiego makaronizmu językowego! Handel, bankowość, całe pośrednictwo nie są w naszych rękach: wychowawcami naszych dzieci są częstokroć cudzoziemcy i cudzoziemki, najrozmaitsze zakresy przemysłu fabrycznego, nawet rolniczego także obcojęzykowcy prowadzą i dalekoby jeszcze można prowadzić tę litanię! Podobnie też dzieje się z językiem naszym, który makaronizują obecnie już nietylko warstwy najwyższe, ale średnie i niższe nawet, a tylko różnica jest w materyale: jedne to czynią francuzczyzną i angielszczyzną, drugie niemczyzną lub językiem rosyjskim, a są i tacy, dla których żargon żydowski jest czemś wyższem i naśladowania godnem! Zjawisko to ma u nas, jak wiadomo, bardzo starą, złą tradycyę. Górnicki narzekał na czechizmy

w Polsce; latynizmy i galicyzmy, później germanizmy były zjawiskiem stałem, a nawet sławne Rejowskie „Polacy nie gęsi, że swój język mają“ zdradza więcej naśladownictwa obcych ruchów narodowojęzykowych, aniżeli poczucia wartości polszczyzny, tak jej wartości bezwzględnej, jako oryginalnego i ciekawego ze wszech miar języka, jak i jej wartości względnej, specyalnie-narodowej. Zmienić się to musi i już się zmienia i to ciekawe, że właśnie równocześnie z tem językowem odradzaniem się idzie w parze i nasze odradzanie się na polu ekonomicznem i przemysłowem, a przynajmniej z dobremi usiłowaniami na tych polach. Oczywiście należy to podkreślić, że zestawienia tendencyi językowych z tendencyami na innych polach nie mogą być tak rozumiane, aby wogóle można wprost transponować jedne zjawiska na drugie: jest tylko faktem, że zakres językowy oddziaływa na inne zakresy psychologiczne człowieka i naodwrót, obie zaś grupy wyobrażeniowe razem ze swemi tendencyami mają swe źródło w duszy ludzkiej i dlatego właśnie mogą na siebie wpływać.

Wprawdzie ten nasz stan, że się tak wyrażę, anarchii językowej i narodowej, dawał nam pewne korzyści polityczne, bo ułatwiał assymilowanie obconarodowych elementów, które miały mniejszą drogę do przebycia od swego społeczeństwa do naszego, nieodrzynającego się gwałtownie akcentowaniem swoich odrębności od społeczeństw innych, ale mnie się wydaje rzeczą conajmniej wątpliwą, czy te korzyści równoważą choć w części szkody, wynikające z takiego stanu rzeczy. Boć i to jeszcze warto podkreślić, że ginie bezpowrotnie ten zakres pracy kulturalnej i zdobyczy, który jest uwarunkowany rodzimością asocyacyi językowych. (Porówn. o tem wyżej). To też wiadoma rzecz, jak u nas, niekiedy traktuje się kulturę — nie jako poprostu wynik pracy i twórczości własnego społeczeństwa, jako wyraz jego natężeń i aspiracyi, ale jako coś oderwanego od ziemi, jako egzotyczny kwiat, którym się należy upajać i za który trzeba płacić — dobytkiem narodowym. Dochodzi nawet do tego, iż ten lub ów liczy na to, że go *ktoś* ucywilizuje, że go weźmie jakieś państwo za łeb i nauczy porządku, boć najwidoczniej sam się uważa za niezdolnego do takiego wysiłku. Za tę zaś łaskę poganiacza i bata dozorcy — gotów jest coś oddać z własności narodowej. Jest to przykre i smutne, ale prawdziwe. O takich ludziach można powiedzieć, że właściwie ucywilizowani nie są, bo nie jest ich kul-

tura ugruntowana w ich duszy, w ich naturze, a tylko są przejęci modą kulturalną, albo narzuconemi przez innych skłonnościami, którym się niewolniczo poddają.

Jako spoidło w znaczeniu negatywnem jest język przeszkodą, utrudniającą porozumienie między obcojęzykowemi społecznościami, w ten sposób stawia on trudności w asymilowaniu członków jednej społeczności językowej przez drugą. Niekiedy jedynie te trudności językowe utrzymują tę lub ową jednostkę w obrębie swojej całości narodowej. Niezrozumienia obcojęzykowej społeczności nie polegają tylko na tem, że wogóle się obcym językiem nie włada, ale może właśnie i przedewszystkiem na tem, że się ma własne asocyacye językowe, które w każdym wypadku stawiają zaporę i prowadzą na bezdroża w języku obcym. I im się studyum własnego języka pogłębia, im się głębiej dociera do jego tajemnic psychicznych i historycznych, tem się wprawdzie nabywa większej wprawy także w ogólnojęzykowych asocyacyach, ale także i pogłębia się przepaść między własnym językowym zakresem a obcym, bo się powiększa ilość ustalanych i uświadamianych różnic. Wielkości w tym kierunku są do pewnego stopnia nieograniczone, przynajmniej dla niefachowców.

Patryotyczne grupy wyobrażeniowe, ustalane i wyrabiane na tle językowem, nie zawierają zgoła żadnych zabarwień stronniczych i partyjnych, ponieważ badanie języka nie popiera w żaden sposób jakichkolwiek specyalnych poglądów ani tendencyi politycznych lub społecznych. Z tego punktu widzenia każda grupa wyobrażeniowa, każde uczucie, każdy element znaczeniowy można rozpatrywać najzupełniej objektywnie, nakreślając właściwe im relacye i odgałęzienia: interesują nas one tylko i jedynie jako zjawiska psychiczne, nie zaś jako pewne usiłowania praktyczne, usiłowania, mające na celu zmienić coś w życiu społecznem. Oczywiście, że ich tendencye do urzeczywistnienia także mogą i powinny być uwzględniane, ale nie jako rzeczy zalecenia lub pogardy godne, ale jako z j a w i s k a i więcej nic, zjawiska oczywiście narodowe, bo wśród naszego narodu się rozgrywające.

Przy takiem rozpatrywaniu zaostrza się niezwykle zmysł obserwacyjny, samokrytyka i samoobserwacya, obiektywne traktowanie najbardziej niejednokrotnie podniecających teoryi i poglądów. Aby się o tem przekonać, może każdy rozebrać szczegółowo wzajemne stosunki znaczeniowe między np. wyrazami: socyalista, progresista,

asceta, postępowiec itd. z czysto językowego punktu widzenia, rozpatrując równocześnie pewien rozwój znaczeniowy, jakie te wyrazy odbyły. — Dlatego też nie można znaleźć lepszego środka wychowawczego dla zaszczepiania czysto objektywnego patryotyzmu, zwłaszcza u młodzieży tak potrzebnego, jak językowe ćwiczenia, pojęte dostatecznie umiejętnie i pedagogicznie zarazem, a z natury rzeczy pozbawione agitacyjnego pierwiastka i pytań, co należy zwalczać, a co popierać.

VII.

Materyał językowy można doskonale związać z krajoznawstwem i z folklorem przez pewne postępy w kierunku zaznajomienia się z dyalektami ludowymi i w ten sposób osiągnąć ideał znajomości rodzinnego kraju, tworząc z tych grup wyobrażeniowych silny kręgosłup i podłoże dla rozwoju patryotycznych uczuć i skłonności. Tak bowiem zbudowane grupy wyobrażeniowe będą obejmować najważniejsze elementy życia narodowego i państwowego, t. j. terytoryum i ten element etniczny, który je zajmuje, a jest zarazem podstawą i twórcą organizacyi narodowej i państwowej. Ugruntowywać można i należy te grupy przez odpowiednio dobrane elementy historyi kulturalnej i politycznej, jakoteż wzmacniać i nadawać im polot ideami literackiemi. Wtedy stosunek się odwróci: idee, czerpane z literatury, nie będą krzywić i wypaczać patryotyzmu, bo będzie on oparty na obiektywnej podstawie naukowej, na powszechnych i codziennych elementach życia narodowego, skutkiem czego suggiestywność poetyczna ich gruntu realnego nie naruszy, ale nada mu tylko dużo giętkości i polotu. Niejednego będzie razić z pewnością takie wyrażenia, jak „krzywić i wypaczać". Wiemy przecież, że nasza literatura jest na wskroś szlachetna i wzniosła, patryotyczna i polska — a jednak zachodzą wypadki, zwłaszcza w umysłach młodocianych, iż najdziwniejsze się czasem spotyka wnioski na tle tej literatury.

Szczęśliwy traf zrządza, że można czasem trochę naprostować te wnioski i przesłanki, ale ileż jest młodzieży, która tak myśli, tak, jak myśli, postępuje, gubiąc zbytecznie siebie i drugich, nie ulegając rozumowemu przewodnictwu ludzi starszych.

Rozumie się samo przez się, że gramatyczne ćwiczenia nie sprostują bezpośrednio pewnego rodzaju poglądów młodzieży, jak

powyżej wspomniane, ale, wyrabiając ściśle odróżnianie treści wyrazu od realnego zjawiska, ćwicząc w samoobserwacyi i w rozbiorze własnych grup wyobrażeniowych i obcych, w zestawianiu jednych i drugich, polot idealizmu poetyckiego trzeźwością obciążą, odbierając mu przez to zapędy, zadaleko idące. Nawiasowo tu jeszcze dodam, że tylko takie ogólne środki zapobiegawcze mogą tu mieć znaczenie wychowawcze, ponieważ sprostowania bezpośrednie nie zawsze się dadzą zastosować, bo nie zawsze się jest pewnym, jakie myśli się snują w młodocianych głowach, a powtóre trzeźwość i spokój wobec autorów w rodzaju Mickiewicza — często bywają przyjmowane z niewiarą, a nawet wprost nieufnością.

W powyższym szkicu uwzględniłem przedewszystkiem humanistyczny podkład uczuć patryotycznych. Naturalnie, że on ich nie wyczerpuje. A nawet jako niefachowiec w zakresie historyi politycznej nie mogłem z dostateczną jasnością i wszechstronnością uwzględnić tego, co studya historyczne mogą przynieść patryotyzmowi. Byłoby tedy ze wszech miar rzeczą pożądaną, aby ten dział był opracowany przez fachowca. O ile zaś na początku stwierdziłem, że w skład uczuć patryotycznych wchodzi i ekonomia, i przyroda i inne zakresy życia i zjawisk w świecie zewnętrznym, o tyle byłoby pożądane, aby te działy były opracowane przez odpowiedniejszych autorów, niż ja. Uświadomienie sobie wszystkich powyższych czynników i ich roli w życiu narodowem, tworzenie na ich zasadzie patryotycznych grup wyobrażeniowych i uczuciowych z pewnością przyniosłoby znaczne korzyści tak czysto wychowawcze, jak i ogólnonarodowe. Wypada życzyć, aby się to stało.

Mikołaj Rudnicki.

Prof. Hruszewskij o stosunku Polski do Rusi.

Interesującym się stosunkami między dwoma toczącymi ze sobą odwieczny spór narodami, mało jest znaną ilustrowana historya Rusi pióra najgłośniejszego jej historyka i polityka. Ukazała się ona z chwilą nastania ery konstytucyjnej, by rozejść się w tysiącach egzemplarzy na przestrzeni od Sanu do Donu i budzić poczucie odrębności narodowej tam, gdzie istnieje jedynie niewyraźna świadomość tej odrębności. Nazwisko historyka stało się najwięcej popularnem ze współczesnych pisarzy a jego poglądy wyraziły poniekąd nastrój oświeconej warstwy społeczeństwa, którego drobny odłam odgradza od ogromnej większości nie tyle linia graniczna, ile słabo odczuwana różnica wyznania religijnego.

Nic też dziwnego, że polski czytelnik śledzi z uwagą sposób, w jaki historyk przedstawia stosunek Polski do Rusi, Wszakże szereg wieków stanowił on jedno z najważniejszych zagadnień wewnętrznych. Odczuwały je wprawdzie słabo i pojmowały jednostronnie kresy zachodnie, by wracać do niego w każdym wieku i rozumieć, że jest ono niemałą przeszkodą do ustalenia wewnętrznej równowagi. Z nastaniem rozbiorów zagadnienie przybrało na znaczeniu, skoro dwa mocarstwa ujęły je poniekąd w ręce i rozwiązywały po swojemu, aż jedno, opierając się na szczepowem pokrewieństwie, postanowiło załatwić się z niem samo i uczyniło je jednym z celów toczącej się wojny.

Historyę Rusi nazywa Hruszewskij historyą Ukrainy, co jest już fałszem w tytule. Ten fałsz ścieśnia bowiem Ruś do granic terytoryum po obu brzegach środkowego Dniepru, choć ono obej-

---

M. Hruszewskij: *Ilustrowana istoria Ukrainy.* Wośma tysiacza. Kiiw-Lwiw 1912, stron 528.

muje niezmiernie większą przestrzeń między Wołgą a Niemnem, Bugiem i Sanem. Wszakże ta ogromna rzesza wszechruska, jak ją nazywa nasz historyk Jabłonowski, nie zdołała wydzielić z siebie nigdy politycznej całości noszącej nazwę Ukrainy. Nawet południe nie zdołało skupić się w odrębną jednostkę, by doczekać się przejścia Halicza pod panowanie Polski, Włodzimierza i Kijowa pod panowanie Litwy. Po unii lubelskiej Halicz, Włodzimierz i Kijów tworzą ziemie koronne, których indywidualność rysuje się wyraźnie tylko dzięki współzawodnictwu między Polską a Moskwą. Na tle tego współzawodnictwa budzi się zrazu tylko zwolna świadomość ruskiej odrębności, by, po rozbiorach, na tle już dwóch współzawodnictw, do których, w latach ostatnich, dołączyło się trzecie, przybrać na sile i zyskać nawet sztuczne miano ukraińskiej.

Sprawiedliwie możnaby nazwać oceniane dzieło historyą kozaczyzny, gdyż ona jest właściwie źródłem silniejszej samowiedzy, która wyrasta na tle mieszania się ze stepowymi turskimi plemionami. Ta kozacka samowiedza usiłowała, za dni buntów siczowych i hajdamactwa, oddziałać na dotknięty polską kulturą Halicz, Włodzimierz, Kijów, by obudzona sztucznie po rozbiorach uważać się za wyrazicielkę nigdy nieistniejącej w tych stronach samowiedzy politycznej wspólności. Wiadomo zresztą, że już w czasach piastowskich zachodziły spory z dynastami rurykowymi. Nie miały jednak charakter walk narodu z narodem, gdyż ruski uległ rozbiciu bardzo wcześnie i każda z dzielnic poczęła stanowić odrębną całość. Tak się stało i z Haliczem, który przylgnął do Polski już za czasów Leszka Białego. Za czasów jarzma mongolskiego, to przylgnięcie stawało się ściślejszem, skoro i wewnętrzne stosunki upodobniały się do polskich, gdy Kijów rozpadał się w gruzy wraz ze swą państwowością.

Mimo tedy nieustannego napotykania nazwy Rusi nawet w tytułach ówczesnych książąt, Hruszewskij posługuje się nieustannie własną, by wszczepić ją niejako gwałtem półświadomym czytelnikom. Nie wzmiankuje ani słówkiem, że stosunki między obu narodami nie mąciły się żadną waśnią wyznaniową, że regulowały je wyłącznie względy dynastyczne. Nie inaczej zachowuje się w wywodach dotyczących okresu poprzedzającego unię lubelską. Znamionuje go, jak wiadomo, praca kulturalna Kazimierza Wielkiego w przyłączonej dzielnicy halickiej, zrównanie praw bojarów z polskimi za Jagiełły, usuwanie wpływu mongolskiego na rzecz za-

chodnich urządzeń za Jagiellończyka. Naprzeciw tych ustalających się stosunków powstaje twór wyrosły z koczowników stepowych, o silnej przymieszce turskiej, zwany kozactwem. Organizuje się rozległe osadnictwo, dźwiga się obrona za pomocą zameczków, straży granicznej, wojska kwarcianego. Oczywiście Hruszewskij nie wzmiankuje ani słowem o skutkach pracy kulturalnej polskiej. Utyskuje tylko nad faktem przyłączenia ziem ruskich, wymienia ograniczenia religijne i narodowe, by z zadowoleniem stwierdzać, że już wtedy szukali uciśnieni pomocy wielkich kniaziów moskiewskich, hospodarów mołdawskich, nawet chanów tatarskich. Nazywa to początkami roboty narodowej.

Ubolewając zaś nad wpływami polskimi na ziemiach ruskich, przypisuje im wybujanie swawoli szlachty, upadek wolności miast, ostateczny ucisk chłopstwa. Szczyt świadomości narodowej upatruje w kozactwie, by żalić się też nad upadkiem starej kultury ruskiej. Na czem ona polegała, nie wyjaśnia. Zauważa tylko, że jej przedstawicielką była cerkiew prawosławna jako obrończyni narodowości i wyznania. „Polska kultura XIV—XVI wieku — mówi — sama w sobie też nie była wysoką, była słabiutkim i dalekim oddźwiękiem współczesnej niemieckiej i włoskiej kuliury. Jeżeli brała górę nad ukraińską, to przedewszystkiem dlatego, że była kulturą państwową, urzędową“ [1])... Niczem zatem dla historyka ruskiego jest Ostroróg, Orzechowski, Modrzewski, Rej, Kochanowski, Hozyusz, Skarga i tylu innych! Sławi on to, czego nie było, poniża to, co właśnie pobudziło ruski żywioł do współzawodnictwa i wywołało pojawienie się Filaleta, Smotryckiego, Pocieja. Unia brzeska wydaje mu się pogromem narodu, który tem chętniej zwraca się o prawa do kozactwa, w kozactwie czuje mocny grunt pod nogami.

Wedle niego, szkodę tedy jedynie przyniosło przyłączenie Halicza do korony, gdyż widocznie pogaństwo litewskie i muzułmaństwo tatarskie lepiej oddziaływały na starą kulturę ruską. Wedle niego, wyludniona ziemia straciła na tem, że zaludniła się osadnikami, że miasta obdarowane prawem magdeburskiem stały się ogniskami handlu. A wpływ prawa polskiego znoszący rodzinny feudalizm i dający bojarom obronę przed samowolą kniaziów? Ciemnota panująca w cerkwi była właśnie wynikiem oporu prze-

[1]) Tamże, str. 219.

ciw wszelkiej kulturze mimo napomnień tolerancyjnych królów [1]). A kazimierzowe zamiary dźwignięcia metropolii w Haliczu, a jagiełłowe fundacye nowych cerkwi na halickiej ziemi, a jagiellończykowe zakazy mieszania się świeckich w sprawy duchowne? Zygmuntowska erekcya władyctwa lwowskiego, po której, za ostatniego Jagiellona, nastąpiło zrównanie praw ziemian ruskich z polskimi i pozwolenie duchownym ruskim administrowania dobrami cerkiewnymi, zaszkodziły i cerkwi i narodowi. Zamiast wdzięczności, odpowiadał ten naród wiązaniem się z obcymi, by wniwecz obracać pracę kulturalną, by dziś, przez swego historyka, skarżyć się na to, co było wynikiem nieufności polskiej a nie polityki nieprzyjaznej z zasady i zwyczaju [2]). Zacofany i formalistyczny bizantynizm nie lepiej przedstawiał się zresztą w Moskwie, dokąd rozstrój udzielał się z Carogrodu.

Ten bizantynizm przeszczepił jedynie nienawiść do wszystkiego, co tchnęło zachodnią kulturą, na grunt, gdzie ceniono wyżej pogan i żydów nad polskich katolików [3]). Na tym gruncie nie chodziło nigdy o zdobycie prawdy, ale o zelżenie przeciwnika [4]). Nie było tu wymiany myśli właściwej polskiej polemice różnowierczej, była jedynie dwulicowość i zdrada. Tego rodzaju kultura podoba się ruskiemu historykowi, który nie liczy się wcale z argumentami historyków polskich, jak Prochaska lub Brückner. Nie liczy się i z tem, co głosił jego ziomek Lewicki, gdy unii Polski z Litwą i Rusią przypisywał wzrost znaczenia tych narodów. Ten Rusin z poczuciem przynależności do Polski chwalił gospodarkę osadniczą i miejską, walkę z najeźdzcami wschodnimi, wpływ demokratyzmu szlacheckiego na stosunki ruskie, udział ruski w ogólnej oświacie. Wywodził rozstrój w cerkwi ze zbytniej przewagi żywiołu świeckiego nad duchownym już w patryarchacie carogrodzkim, co widać choćby w supremacyi rodu kniaziów Ostrogskich. Upadek zamiarów zjednoczenia kościołów przypisywał tym samym wpływom zewnętrznym [5]), które, wedle historyka nieznanego w historyi narodu, pomagały w początkach pracy narodowej.

---

[1]) *Kwartalnik historyczny* z r. 1896, str. 525.

[2]) Tamże, str. 530—531.

[3]) Tamże, str. 582.

[5]) Tamże, str. 580.

[5]) A. Lewicki: *Zarys historyi polskiej aż do najnowszych czasów*. Wydanie piąte, Warszawa b. o., str. 230.

Historya tego narodu staje się też, pod jego piórem, coraz więcej historyą kozactwa a nie szlachty zrównanej co do wiary i praw z resztą obywateli, a nie miast handlowo i majątkowo długo jeszcze kwitnących, a nie wsi, gdzie długo jeszcze poddaństwo nie przechodziło w niewolę, a na ziemiach ruskich opierało się o wolną kozaczyznę. Ona była niewątpliwie ostatnią ostoją starej kultury, która polegała wśród siczowników na awanturniczości, łupieżczości, wspólności majątku wydartego tatarskim ułusom lub tureckim paszalikom nadmorskim [1]). Okazywała bujną energię, szerzyła swobodny ruch i wolę. Zdobywała sobie światową sławę [2]), od której Polakom cierpła dusza! Zwalali oni nawet własne wyprawy mołdawskie na kozaków. Ale kozacy mieli zręcznego atamana w Sahajdacznym, który rozciągnął opiekę nad uciśnioną cerkwią prawosławną. Za ustępstwa dla niej, poszedł pod Chocim i wyratował Polskę od zguby! Relacya ta nie odbiega od prawdy, ale pomija fakt, że rządne państwo nie mogło ścierpieć żywiołu wyłamującego się z wszystkich klubów. Ten żywioł nie słuchał żadnych ustaw, gromadził wszelkie hultajstwo w swem łonie, dokonywał wypraw zamorskich, które sprowadziły właśnie wojnę chocimską. Świadczy o tem Jabłonowski, by stwierdzić zarazem, że w kozactwie, obok żywiołów obywatelskich, znajdowały się żywioły żądne chadzek na morze dla rabunku i ściągające na kozactwo przykre ograniczenia. Wedle niego, nie miały te żywioły żadnej wiary, żadnej idei narodowej. Za sobą miały zaś tylko niższe i wrogie unii duchowieństwo prawosławne [3]), które czyniło z swawolników działaczów wiary i narodu.

To duchowieństwo znosiło się też z Moskwą, co Hruszewskij nazywa szerszą, polityczną, międzynarodową kombinacyą. Taką samą kombinacyą były też znoszenia się kozaczyzny z tatarstwem. To ostatnie zawiodło pod Zborowem, nie zawiodła jednak Moskwa. Ona przyjęła kozactwo pod carską opiekę i rozpoczęła wojnę z Polską, by sama uważać sprzymierzeńców za swą własność. Zaczęła się tedy tragedya, której mogła położyć koniec ugoda hadziacka. Była to, jak wiadomo, najpiękniejsza chwila stosunku Rusi do Polski. Nie znajduje dla niej historyk ruski słowa pochwały. Nie łaskaw jest zaznaczyć, że zadnieprzańska opozycya

---

[1]) Tamże, str. 246—247.

[2]) U Hruszewskiego, str. 254—255.

[3]) A. Jabłonowski: *Historya Rusi południowej.* W Krakowie, str. 218.

przeciw niej była zainicyowaną jedynie polityką Chmielnickiego, że chwianie się między protekcyą Turcyi i Moskwy tylko w tej polityce miało początek, by wywołać bratobójcze rozprężenie i rozpad hetmańszczyzny. I Zaporoże nie zyskało wcale na anarchii, z której nie mogło wyrosnąć żadne rządne państwo [1]). Anarchia przywiązała tylko silniej ruską szlachtę do polskiego państwa, zniszczyła miasta, osłabiła obronność kresów. Zamiast autonomii ruskiej, którą obiecywała ugoda hadziacka, nastąpiła niewola zrazu zadnieprzańskiej a potem i całej kozaczyzny, zamiast autonomii cerkiewnej, której domagano się od polskiego państwa, nastąpiła zależność od patryarchatu moskiewskiego. A to prowadziło do dalszego wpływu Moskwy na sprawy polskie, która zaczęła od wypędzania ludu ruskiego za Dniepr, a potem, śladem dawnej polityki, wmieszała się w sprawy dyssydentów i dyzunitów całego państwa polskiego.

Te następstwa nie obchodzą jednak bynajmniej historyka odnoszącego się stale nieprzyjaźnie do Polski. A jednak los hetmańszczyzny, zwłaszcza po bitwie pod Połtawą, przypomina mocno ostatnie lata znienawidzonej przez historyka Polski. I hetman kozacki nie mógł nic uczynić bez pozwolenia rezydentów, i w hetmańszczyźnie hulały swobodnie wojska moskiewskie. A oporni przemocy protektora ginęli, jak później w Polsce, na wygnaniu lub w więzieniu. I wrogowie Moskwy pozostali też obojętni na losy dawnego sprzymierzeńca. Niezależni hetmani stali się rosyjskimi feldmarszałkami, nim całkiem przestali istnieć. A jednak wpływy pozostały w tej oderwanej części wielkiej całości, jak statut litewski, prawo magdeburskie. Teraz odrębność cerkwi, rozwój akademii kijowskiej, świetność religijnej polemiki unitów z prawosławnymi upadały w miarę zrywania się węzła z polskiemi urządzeniami i kulturą. Stwierdza te objawy historyk, by ani słowem nie wspomnieć o czynniku, który te objawy niegdyś podtrzymywał. Czyni to zaś świadomie, gdyż dzisiejsza wiedza o tych czasach mówi wiele o tem, komu zawdzięczać należy tę odrębność, ten rozwój, tę świetność [2]). Przyznaje jedynie, że ówczesna kultura rosyjska stała nisko, że ruskie życie kulturalne oddziaływało na rosyjskie, nim samo uległo przeróbce w duchu ogólnym [3]).

[1]) Tamże, str. 279.

[2]) *Przewodnik historyczny* z r. 1897, str. 637.

[3]) U Hruszewskiego, str. 429.

Wielkoruska kultura nie dała żyć obok siebie drugiej, gdyż nie kierowała się polską tolerancyą.

Że ta polska tolerancya dopuściła też do wytworzenia się hajdamactwa, nie ubolewa wcale historyk. Widzi w nich ostatnich przedstawicieli idei niezależności [1]), przeczy także, by hajdamaków popierała obca ręka, choć Jabłonowski wyraźnie wskazuje na tę rękę. Jakże zapatruje się historyk na rozbiory Polski? Przedewszystkiem mniema, że zaprowadzenie unii w województwach ruskich, które jej nie uznały, było zabiciem do reszty narodowego życia ruskiego. Jest w tem konsekwentnym do końca, skoro i dawniej prawosławie uważał za najlepszą obronę ruskości. Wprowadzenie zatem unii, która dotąd trzymała się tylko na Litwie, na polskiej Rusi, zestawia ze zniszczeniem ruchów hajdamackich [2]). Czy mógł tedy ubolewać nad rozbiorami? Streszcza tedy przebieg pierwszego, gdyż nie uważa państwa polskiego za zdolne do życia, tak samo traktuje następne. „Tak jak niegdyś — mówi — na dwieście lat wcześniej, na lubelskim sejmie polscy politycy szafowali ziemiami ukraińskiemi, przyłączali nie pytając się ich i zmuszali potem ukraińskich panów przemocą przysięgać Polsce, tak stało się teraz z Polakami“ [3]). Nie będzie może przesadą orzec, że w tem porównaniu unii lubelskiej z rozbiorami wyczuwa się uczucie dużego zadowolenia z dokonania największej zbrodni dziejowej.

Ubolewa jedynie historyk, że dola ruska nie poprawiła się mimo upadku Polski. Jedynie Austrya odczuła potrzebę tej poprawy, w Rosyi dola chłopstwa pogorszyła się nawet. Tymczasem w Austryi cerkiew unicka stała się cerkwią narodową. Niestety wpływ polskiej paraliżował rozwój ruskiej kultury. Rozwijała się ona przecież z pokolenia na pokolenie, gdy w Rosyi nie polepszyło się od czasu, gdy nareszcie Polska upadła [4]). Dopiero romantyzm obudził narodową twórczość, wytworzył literackie kółka w Charkowie, Moskwie, Petersburgu. Z tej literatury nie mogło jednak wyniknąć narodowe odrodzenie. Dokonało się ono w Austryi, gdzie rząd używał ruskiego żywiołu dla osłabienia polskiego. I teraz wysuwa się kwestya rozdzielenia niedorzecznie zszytej

---

[1]) Tamże, str. 453.

[2]) Tamże, str. 471.

[3]) Tamże, str. 475.

[4]) Tamże, str. 482.

z polskich i ruskich ziem Galicyi. Z nią łączyły się inne narodowe zagadnienia. W ich obronie ruch ruski organizował się przeciw polskiemu w osobnej radzie, w osobnej gwardyi, w osobnych batalionach strzelców w pamiętnym roku 1848. Ten ruch upadł jednak, polska szlachta objęła zaś ponownie rządy kraju w swe ręce. Spowodowało to przychylenie się żywiołów zachowawczych wśród duchowieństwa i urzędników do Rosyi. Głosiły one, że Rusin może za godzinę nauczyć się mowy rosyjskiej, że jeden jest naród ruski od Karpat do Kamczatki.

I w Rosyi przeważał podobny prąd. Ale w masach obudziły się tradycye kozackie zgodnie z demokratyzmem epoki. Niestety wszystkie kulturalne instytucye znajdowały się w rękach tak zwanych moskwofilów. Idea kozacka znalazła jednak uznanie wśród młodzieży z tej i z tamtej strony rozbiorowego kordonu. W Rosyi zachowała jednak charakter literacki, gdy Galicya stała się oknem na świat dla całego ukraińśtwa. Miało ono jednak twarde losy, gdyż jedna jego część chciała wiązać się z Polakami. A ukraińśtwu nie szło bynajmniej o takie drobnostki, jak gimnazyum lub katedra uniwersytecka. Ono nie wiodło bowiem prowincyonalnej polityki, skoro wywiesiło ideę kozacką jako sztandar. Ono wiodło bój z polskiem panowaniem, by skupiać zwolna wszystkie prawdziwie ruskie żywioły... Ale są to rzeczy już zbyt bliskie chwili dzisiejszej, kiedy z fal zamętu światowego idea kozacka wynurza się, o ile chodzi o jądro sprawy, w tych samych kształtach. Trzeba jej przyznać, że rozwija się ona na historycznych podstawach, że zwraca się cała przeciw hadziackiej idei ugody, że, jak niegdyś na najbliższych sąsiadach, tak dziś pragnie oprzeć się na Prusach.

Za twórcę porozumienia Rusi z Prusami poczytuje, może nawet wbrew historykowi, który podobno oświadczył się za odnowieniem porozumienia z Rosyą, ta idea kanclerza Bismarcka. „*Wie wir sehen* — mówi jeden z jej zwolenników — *war der grösste Staatsmann Deutschlands und seines Jahrhunderts über die Verhältnisse im europäischen Osten sehr gut orientirt und hat die internationale Bedeutung der ukrainischen Frage dank seinem genialen Scharfsinn gut eingesehen*“ [1]). Ale to już polityka aktualna. Dziwić się jedynie należy, jakim sposobem historyk przeniknięty

[1]) *Osteuropäische Zukunft.* Amtliches Organ. München 1915, I. Heft, str. 10.

nawskróś nienawiścią do polskiej państwowości, odrębności, kultury, może być profesorem polskiego uniwersytetu, członkiem najwyższej instytucyi naukowej. Jest miara nawet w nienawiści a tę miarę historyk narodu, który nazwał wbrew historyi, prawdzie, zwyczajowi, ukraińskim, przeszedł już dawno. Cierpliwość polska przypomina jednak papier, na którym życie pisze dawno swe zamysły, gdy on poddaje się im nieświadomie. Oby do tego papieru nie były podobnymi niektóre mózgi, uważane dotąd za najtęższe wśród tęgich!

T. Grabowski.

Posiadłość ziemska chłopa polskiego [1]).

Niemniej ważną od stwierdzenia liczebności chłopa polskiego jest sprawa jego posiadłości ziemskiej. Przez siłę liczebną łącznie z podstawą terytoryalną bowiem — z przestrzenią życiową — może się uwydatnić stosunek tego chłopa do innych warstw, do reszty społeczeństwa.

Obliczenie tej przestrzeni, podobnie jak obliczenie ilości chłopa polskiego, przy obecnym stanie praktyki statystycznej nastręcza pewne trudności. W wydawnictwach statystycznych bowiem podano zestawienie większej i drobnej własności ziemskiej, lub też różnej wielkości gospodarstw, bez względu na narodowość lub społeczny stopień ich właścicieli.

Także ogólna kwalifikacya gospodarstw w różnych zaborach jest różna. I tak: w Królestwie Polskiem przez własność większą rozumie się ziemię dworską, majoracką i skarbową; przez drobną — wszystkie inne rodzaje własności. Na Litwie i Rusi przez drobną własność rozumie się własność ukazową włościan (r. 1861, 1864), przez większą — własność pozostałą. Jest to klasyfikacya ekonomiczno-historyczna. Natomiast w Galicyi i w Zaborze pruskim przyjęto zasadę podziału mechaniczną: przez większą własność rozumie się tutaj gospodarstwa powyżej 100 ha — przez drobną: poniżej 100 ha (St. P. 115). W Księstwie cieszyńskiem do więk-

---

1) Por. artykuł p. t. Siła liczebna chłopa polskiego („*Rok Polski*", styczeń 1917, nr. I.). Z tego artykułu zaczerpnięto cyfry, dotyczące ilości polskiego chłopa rolnego, dla obliczenia przypuszczalnego obszaru ziemi, jakim chłop ten w różnych dzielnicach włada. Pozatem również i dla opracowywanego w niniejszym artykule przedmiotu służyła za podstawę głównie A. Krzyżanowskiego i K. Kumanieckiego Statystyka Polski *(St. P.)*, Kraków 1915; cyfry po *St. P.* umieszczone oznaczają numery tablic tego dzieła.

szej własności zalicza się dopiero gospodarstwa powyżej 500 ha (St. P. 116).

W tych okolicznościach wypadnie się tutaj uciec do pewnych przypuszczeń, pewnych racyonalnych założeń, ażeby z całości własności ziemskiej na ziemiach polskich wyodrębnić własność chłopską, a z tej znowu wyłuszczyć polską własność chłopską. Otóż, najprzód nie ulega wątpliwości, że w dzisiejszym stanie zrównania prawnego ludności miarodajnym dla rozdziału gospodarstw ziemskich na większe i drobne musi być tylko ich rozmiar. I zdaje się, że się nie omylimy, gdy jako własność chłopską przyjmiemy wszystkie gospodarstwa poniżej 50 ha, gospodarstwa zaś o większej przestrzeni ogólnej (rola, łąki, lasy i nieużytki) zaliczymy w poczet większej własności ziemskiej. Zdaje się bowiem, że wypadki, gdzie chłop posiadałby więcej niż 50 ha (około 89 morgów) ogólnej przestrzeni gospodarstwa, na całym obszarze polskim — wyjąwszy może jakieś pustkowia górskie, względnie nizinne mokradła lub piachy — są nader rzadkie.

Nie uchybiłoby się prawdzie, gdybyśmy dla Litwy i Rusi przyjęli równie sporą przestrzeń chłopskiej własności ziemskiej polskiej; choćby z tego względu, że tamtejsza rozliczna szlachta szaraczkowa, z trybu życia zupełne chłopy, jednakże z kultury i wyznania, a częstokroć także i z języka jest polską [1]). Ponieważ atoli rozporządzalne dane statystyczne nie zezwalają na przyjęcie w tym względzie jakiejkolwiek łacnej zasady wyodrębnienia, przeto co do polskiej własności ziemskiej, w Krajach zabranych przyjdzie poprzestać na własności większej.

Ażeby w reszcie Polski, t. j. w Ściślejszej Polsce, obliczyć polską własność chłopską, wypadnie się również uciec do pewnych założeń. Mianowicie zachodzi tutaj kwestya, ile ziemi śród ogólnej przestrzeni własności chłopskiej może przypadać na chłopa ruskiego, litewskiego, niemieckiego — a ile na polskiego. Pod tym względem przyjmujemy w Królestwie Polskiem i w Galicyi w grupie własności chłopskiej klucz liczebności chłopstwa każdej z tych

---

[1]) Jakoż p. St. Thugutt (Polska i Polacy... Warszawa 1915 s. 7) pisze: „Nie chce się niekiedy pamiętać..., że [na Litwie i Rusi] społeczeństwo polskie składa się... nietylko z posiadającego większą własność ziemiaństwa i nietylko z osiadłej po miastach inteligencyi, ale również zajmującego zwarte połacie ziemi ludu, włościan i osiadłej „okolicami“ drobnej szlachty — posiada zatem całkowitą i normalną strukturę społeczną“...

narodowości. Faktyczne stosunki własnościowe bowiem nie mogą zbytnio odbiegać od liczebnych stosunków chłopa tych poszczególnych narodowości.

Co do Wielkiego Księstwa poznańskiego i Prus królewskich przyjmujemy zarazem, że tam i w grupie większej własności panują analogiczne stosunki — że przeto własność ziemska polska wogóle, tak większa jak i drobna, stanowi taki odsetek całej własności ziemskiej danej kategoryi, jaki przypada na ogół liczebny Polaków w stosunku do Niemców [1]). Podobnie, ze względu na przypuszczalnie prawie równomierny rozkład obydwu narodowości na ludność miejską i wiejską na Górnym Śląsku i na Mazurach pruskich, przyjmujemy tu na rzecz własności polskiej — w tym wypadku tylko w obrębie własności chłopskiej — taki odsetek, jaki przypada na ludność polską w Rejencyi opolskiej i olsztyńskiej.

W Księstwie cieszyńskiem wreszcie, gdzie w kategoryi drobnej własności jako właściciel istnieje prawie wyłącznie tylko chłop polski i czeski, własność tę rozdzielamy między obydwie narodowości tak samo według ich stosunku liczbowego, przyczem się zakłada, że rozdział na ludność miejską i wiejską w obrębie tak ludności polskiej jak i czeskiej wykazuje te same odsetki.

Przystępujmy tedy do naszych obliczeń:

Królestwo Polskie.

Powierzchnia (St. P. 1) . . . . 123.326 km².

Suma użytków gruntowych (St. P. 76):

1) ziemie orne (oraz ogrody i zdatne ziemie) ok. 59% cz. 72.762 km²;
2) łąki i pastwiska . . . . ok. 15% cz. 18.499 km²;
3) lasy . . . . ok. 18·2% cz. 22.445 km².

---

[1]) W Prusach królewskich wielka posiadłość i dobra rycerskie, skupione w rękach polskich, nie odpowiadają wprawdzie swoją rozległością liczebnemu stosunkowi żywiołu polskiego, ale zato są tam bardzo licznie reprezentowani t. zw. „...g b u r z y, posiadający po paręset, niekiedy po kilkaset morgów ziemi“... (St. T h u g u t t, Polska i Polacy... s. 8, 9). Ponieważ zaś takie obszary zaliczamy do większej własności, więc niedobór po stronie polskiej może się wyrównać.

Odnośnie do polskiej własności chłopskiej w Prusach królewskich i na Mazurach pruskich por. zresztą artykuł p. t. „S i ł a l i c z e b n a c h ł o p a p o l s k i e g o“ („*Rok Polski*“, styczeń 1917, nr. I. s. 60 przyp.).

Z tego przypada (St. P. 115)

na większą własność:	na drobną własność:
ad 1) 31·4% cz. 22.847 km^2	68·6% cz. 49.915 km^2;
nd 2) 31·6% cz. 5.845 „	68·4% cz. 12.654 „
ad 3) 82·8% cz. 18.584 „	17·2% cz. 3.861 „
Razem . . . 47.276 km^2	66.430 km^2.

Doliczywszy do tego stosunkowe ilości nieużytków (6·9% powierzchni Król. Pol., St. P. 76), czyli 3.485 km^2 i 5.020 km^2, uzyskujemy jako powierzchnię większej własności 50.761 km^2 — a drobnej własności: 71.450 km^2. Przyjmujemy, iż około 85% większej własności znajduje się w ręku polskim, t. j. okrągło 43.150 km^2. Odliczywszy zaś od drobnej własności 8% jej powierzchni na rzecz chłopskiej własności ruskiej, litewskiej i niemieckiej, czyli około 5.720 km^2, pozostaje jako powierzchnia chłopskiej własności polskiej 65.730 km^2 — a zatem cała powierzchnia ziemskiej własności polskiej w Królestwie Polskiem wynosi 108.880 km^2.

W stosunkach wyraża się to następująco: Chłopska własność polska wynosi około 53·3% całej powierzchni Królestwa Polskiego, a około 60·4% całej powierzchni polskiej własności ziemskiej w Królestwie Polskiem.

Zabór pruski.

I. Wielkie Księstwo poznańskie.

Powierzchnia (St. P. 1) . . . . 28.989 km^2.

Suma użytków gruntownych (St. P. 76):

1) Ziemie orne (oraz ogrody i zdatne ziemie) około 64%, czyli okrągło 18.560 km^2;
2) łąki i pastwiska ok. 13% cz. okr. 3.768 „
   (1 i 2 razem 22.328 km^2)
3) lasy około 20%, czyli okrągło 5.790 „

Z tego przypada (St. P. 115)

na większą własność:	na drobną własność:
ad 1), 2) 44·06% cz. 9.835 km^2	55·94% cz. 12.493 km^2
ad 3) 58·59% cz. 3.395 „	41·41% cz. 2.395 „
Razem . . . 13.230 km^2	14.888 km^2

Gospodarstwa 20—100 ha wynoszą 21·53% powierzchni W. Ks. poznańskiego (St. P. 88), czyli 6.240 km². Licząc, że 1/3 tego obszaru, czyli 2.080 km² przypada na gospodarstwa 50—100 ha, które według przyjętej na wstępie uwagi należy wciągnąć w obręb większej własności, a temsamem od drobnej odjąć, uzyskujemy następujący wynik:

	większa własność:	drobna własność:
	13.230 km²	14.888 km²
	+ 2.080 „	— 2.080 „
ogółem wynosi	15.310 km²	12.808 km²

Jeżeli w obydwu kategoryach własnościowych przyjąć prosty stosunek własności ziemskiej do stosunku narodowości (Polacy 61·5%, Niemcy 38·5% — St. P. 39), wypada na większą własność polską 9.415 km², a na chłopską własność polską 7.872 km²; a zatem cała powierzchnia ziemskiej własności polskiej w W. Ks. poznańskiem wynosi 17.287 km².

W stosunkach wyraża się to następująco: Chłopska własność polska wynosi około 27·15% całej powierzchni W. Ks. poznańskiego, a około 45·53% całej powierzchni polskiej własności w W. Ks. poznańskiem.

II. Prusy królewskie.

Powierzchnia (St. P. 1) . . . . 25.553 km².

Suma użytków gruntowych (St. P. 76):

1) Ziemie orne (oraz ogrody i zdatne ziemie) około 57%, czyli	14.565 km²	razem 18.910 km²
2) łąki i pastwiska około 17%, czyli	4.345 „	
3) lasy około 22%, czyli	5.620 „	

Z tego przypada (St. P. 115)

	na większą własność:		na drobną własność:	
ad 1), 2)	36·54%	cz. 6.900 km²	63·46%	cz. 12.010 km²
ad 3)	47·03%	cz. 2.645 „	52·97%	cz. 2.975 „
	Razem . . .	9.545 km²		14.985 km²

Gospodarstwa 20—100 ha wynoszą 33·12% powierzchni Prus królewskich (St. P. 88), czyli 8.460 km². Licząc, że 1/3 tego obszaru,

czyli 2.820 km^2 przypada na gospodarstwa 50—100 ha, które według przyjętej na wstępie uwagi należy wciągnąć w obręb większej własności, a temsamem od drobnej odjąć, uzyskujemy następujący wynik:

	większa własność:	drobna własność:
	9.545 km^2	14.985 km^2
	+ 2.820 „	— 2.820 „
ogółem wynosi	12.365 km^2	12.165 km^2

Jeżeli w obydwu kategoryach własnościowych przyjąć prosty stosunek własności ziemskiej do stosunku narodowości (Polacy 36%, Niemcy 64% — St. P. 40), wypada na większą własność polską 4.450 km^2, a na chłopską własność polską 4.440 km^2, a zatem cała powierzchnia ziemskiej własności polskiej w Prusach królewskich wynosi 8.890 km^2.

W stosunkach wyraża się to następująco: Chłopska własność polska wynosi 17·38% całej powierzchni Prus królewskich, a 49·95% całej powierzchni polskiej własności ziemskiej w Prusach królewskich.

III. Rejencya olsztyńska (Mazury pruskie).

Powierzchnia (St. P. 41) . . . . 12.025 km^2

Suma użytków gruntowych (por. St. P. 76):

1) Ziemie orne (oraz ogrody i zdatne ziemie) około 56%, czyli około	6.730 km^2	razem 9255 km^2
2) łąki i pastwiska ok. 21% cz. ok.	2525 „	
3) lasy około 18%, czyli około . .	2.160 „	

Z tego przypada (St. P. 115)

	na większą własność:	na drobną własność:
ad 1), 2)	29·56% cz. 2.735 km^2	70·44% cz. 6.520 km^2
ad 3)	54·62% cz. 1.180 „	45·38% cz. 980 „
Razem . . .	3915 km^2	7.500 km^2

Gospodarstwa 20—100 ha wynoszą 40·91% powierzchni Rejencyi olsztyńskiej (St. P. 88), czyli 4 920 km^2. Licząc, że $^1/_3$ tego obszaru, czyli 1.640 km^2 przypada na gospodarstwa 50—100 ha,

które według przyjętej na wstępie uwagi należy wciągnąć w obręb większej własności, a temsamem od drobnej odjąć, uzyskujemy następujący wynik:

	większa własność:	drobna własność:
	3.915 km²	7.500 km²
	+ 1640 „	— 1640 „
ogółem wynosi	5555 km²	5860 km²

Polska własność ziemska rozciąga się tu przypuszczalnie tylko na drobną własność. Jeżeli zaś w tej kategoryi przyjąć prosty stosunek własnościowy do stosunku narodowości (Polacy 50%, Niemcy 50% — St. P. 41), wypada na chłopską własność polską 2930 km², czyli:

Chłopska własność polska wynosi około 24·35% całej powierzchni Rejencyi olsztyńskiej, a około 50% powierzchni chłopskiej własności ziemskiej w Rejencyi olsztyńskiej.

IV. Rejencya opolska (Śląsk Górny)

Powierzchnia (St. P. 1) . . . . 13.230 km²

Suma użytków gruntowych (St. P. 76):

1) Ziemie orne (oraz ogrody i zdatne ziemie) około 57%, czyli	7.540 km²	razem 12.430 km²
2) łąki i pastwiska ok. 37% cz. ok.	4.890 „	
3) lasy około 2·2%, czyli około . .	300 „	

Z tego przypada (St. P. 115)

	na większą własność:		na drobną własność:	
ad 1), 2)	29·68% cz. ok.	3.690 km²	70·32% cz.	8.740 km²
ad 3)	59·09% cz. ok.	177 „	40·91% cz.	123 „
Razem . . .		3.867 km²		8.863 km²

Gospodarstwa 20—100 ha wynoszą 14·60% powierzchni Rejencyi opolskiej (St. P. 88), czyli 1.932 km². Licząc, że ⅓ tego obszaru, czyli 644 km² przypada na gospodarstwa 50—100 ha, które według przyjętej na wstępie uwagi należy wciągnąć w obręb większej własności, a temsamem od drobnej odjąć, uzyskujemy następujący wynik:

	większa własność:	drobna własność:
	3.867 km²	8.863 km²
	+ 644 „	— 644 „
ogółem wynosi	4.511 km²	8.219 km²

Polska własność ziemska rozciąga się tu przypuszczalnie tylko na drobną własność. Jeżeli zaś w tej kategoryi przyjąć prosty stosunek własnościowy do stosunku narodowości (Polacy 57%, Niemcy 40%, inni — głównie Czesi — około 3%, St. P. 42), wypada na chłopską własność polską około 4.700 km², czyli:

Chłopska własność polska wynosi około 35.5% całej powierzchni Rejencyi opolskiej, a około 57% całej powierzchni chłopskiej własności w Rejencyi opolskiej.

Zabór pruski — ogółem:

Prowincya	cała powierzchnia	cała powierzchnia większej własności	cała powierzchnia drobnej własności
W. Ks. pozn. . .	28.989 km²	15.310 km²	12.808 km²
Prusy król. . . .	25.553 „	12.365 „	12.165 „
Rej. olsztyńska .	12.025 „	5.555 „	5.860 „
Rej. opolska . .	13.230 „	4.511 „	8.219 „
Razem . .	79.797 km²	37.741 km²	39.052 km²

Prowincya	pow. większej własn. polskiej	pow. drobnej własn. polskiej	cała pow. polskiej własn. ziemskiej
W. Ks. pozn. .	9.415 km²	7.872 km²	
Prusy król. . .	4.450 „	4.440 „	w. wł. 13.865 km²
Rej. olsztyńska .	?	2.930	dr. wł. 19.942 „
Rej. opolska . .	?	4.700	
Razem . .	13.865 km²	19.942 km²	33.807 km²

W stosunkach wyraża się to następująco: Chłopska własność polska wynosi zwyż 25% całej powierzchni zaboru pruskiego, a 59% całej powierzchni polskiej własności ziemskiej w zaborze pruskim; zaś większa własność polska wynosi około 17·38% całej powierzchni zaboru pruskiego, a zwyż 36% całej powierzchni większej własności w zaborze pruskim; wreszcie, cała powierzchnia polskiej własności ziemskiej w zaborze pruskim wynosi około 42·37% powierzchni tego zaboru.

Dr. Franciszek Duda.

(Dokończenie nastąpi.)

Z poematu: „Marchołt gruby a sprośny
jego narodzin, życia i śmierci misterium tragikomiczne“.

Sceny środkowe aktu trzeciego: „Marchołt-król czyli tryumf i upadek Marchołta“.

(Dokończenie).

Plac publiczny, targowisko. Tłum ludu.

Głosy przekupniów i straganiarzy.

Szkoda naszych ławek, jatek!

Tłum.

Co nam jatki, co nam ławy!
My dla świętej, wielkiej sprawy
Oddamy dziś swój ostatek! — —
Niech nam żyje!...

Głosy z tłumu.

Król żołędny!

Inny głos.

Król pikowy!
Przed żołędzią idą piki!

Inny głos.

Przed pikami są żołędzie!...

Inny głos.

Porządek jest nieodmienny!

Inny głos.

Albo zmienny!

Inny głos.

Panie dziki,
Niech tak będzie!...

Inny głos.

Co wy tak się targujecie?!
Król dzwonkowy — —

Inny głos.

Nie! czerwienny
Niech nam żyje!...

Inny głos.

Dość tych królów!...
Jest za dużo ich na świecie!...

Inny głos.

Jeden pasterz! jeden król!...

Inny głosy.

Bóg na niebie, król na ziemi,
Jako pasterz między swemi
Owieczkami!
Na wiek z nami
Pośród naszych łanów, pól,
Pośród naszych sadów, ulów! — —

Głos z tłumu.

Precz z królami!

Przywódca tłumu *(Apostoł Marchołta)*.

Niech się zleją wrogie prądy!
Król zaczyna swoje rządy,
Swe przeglądy,
Swoje sądy —

Głos z tłumu.

Trza wyleczyć wszystkie trądy —

Inny głos.

Dobra nasza!
Trzeba wymieść wszelkie stajnie
Augiasza!...

Radca.

Wyraziwszy się zwyczajnie,
Trza położyć raz już tamę
Tym nieczystym wszelkim tchom,
Co publiczny czynią dom
Z tego świata, świństwa stek —
Takeś, królu, kiedyś rzekł? — —

Marchołt *(z tronu)*.

Tak!...

Radca.

Że niby jest szulernia,
Gdzie brat brata w ferbla kładzie?

Marchołt.

Tak!...

Radca.

Że świat nasz to kawiarnia
Pospolita, aż ogarnia
Człeka strach?

Marchołt.

Tak!...

Radca.

O tak!
I me słowa są te same!...
Słuchaj oto,
Co ci powiem, królu!... Ach!
Szedłem zawsze pośród ciernia —
Męczeństwa to mego znak —
Chciałem, królu, wymieść błoto,

Lecz na Radzie — — — — —
Dzisiaj zwrot nastąpił nowy!
Niema co już łamać głowy,
Dziś mnie losy z tobą skuły — —
(Wchodzą ministrowie z stosem papierów.)

Jeden z ministrów.

Fascykuły!

Drugi minister.

Matrykuły!

Inny minister.

Do podpisu! Do podpisu!...

Pierwszy minister państwa.

Mości królu!...

Marchołt.

Co? ten cały
Stos bibuły?

Jeden z ministrów.

Niechże król jegomość zważy — — —

Marchołt.

Jeśli zważę, to tem barzej
Nic mi z takich dygnitarzy!

Jeden z ministrów.

Twój poprzednik bywał na to,
Jak na lato!...

Marchołt.

Precz! Wyrzucić te szpargały!...

Pierwszy minister państwa.

Mości królu! Wielki panie!
Nowe twoje panowanie

Niechże nam się wielce darzy
Do ostatniej twej godziny,
Tak! do skonu —
Oczywista
Po najdłuższem życiu twem...
(*Wskazując na jednego z ministrów, potem na wszystkich*)
On wie dobrze i ja wiem,
Wszyscy wiemy, żeś jest czuły
Na wszelakie obowiązki,
Choć ich długa bywa lista,
Przeto grunt nie będzie grzązki,
Grunt, tworzący podwaliny
I podstawy
Twego tronu!
A ten tron twój trwały, prawy,
Nie jest z świerku ani cisu,
Nawet z dębu ni jesionu
On-ci nie jest, choć rzecz pewna,
Że najtwardsze to są drewna,
Nie próchnieją zbyt skwapliwie,
Wytrzymują, aż się dziwię,
Nawet takie — o!... siedzisko,
Jako twoje, władco nasz!...
Tęgo ci się na niem siedzi:
Ręce ludu go wykuły
Z ludu serc, a ludu serca
Stokroć twardsze są od miedzi —
Bronz, czy spiż to przeniewierca,
To li pozór jest zdradziecki
Wobec mocy, wobec siły,
Którą ciebie zniewoliły
Te surduty, te mundury,
Te sukmany i te kiecki —
Bo i te w ten świeży, młody
Czas wolności, czas swobody
Śmiało wznoszą się do góry —
Jednem słowem wszystek świat,
Byś na tronie takim siadł!...
Jestem blisko

Rzeczy jądra
I powiadam: My, twa straż,
Twoi, panie, ministrowie,
Nosim prawdę w swojej głowie,
Przekazaną od stuleci —
Prawda to jest arcymądra —,
Że lud — niby twoje dzieci —
To nie żadna bylejaka,
Panie, glista,
Która czasem miewa chętkę
Wyśliznąć się z rąk rybaka,
Gdy na wędkę
Nadziewa ją łowca ryb...
Imć pan Żuchwa, imć pan Grzyb,
Imć pan Sojka, imć pan Kraska,
Imć Wątróbka, jeśli łaska,
Lub, uczciwszy, panie, uszy,
Imć pan... Otóż właśnie mówię,
Co mam w duszy,
Że daremnie
Ten i ów się jeszcze puszy — —
Że nazwisko
To obuwie,
Które, panie, mało znaczy,
Że natomiast znaczą nogi,
Które w niem się, królu drogi,
Chować zwykły, — że prostaczy
Lud — ta wiara jest dziś we mnie —
Z takim samym potem, znojem
Wspierać będzie ten twój stolec,
Gotów żyć zań, a i poledz,
Jak za byłych juści dni
Żyli zań i marli zań,
Z ciała, duszy czyniąc dań —
Jak nasz, mówię, tron wspierali
Ci wspaniali
Imć pan -icki, imć pan -ecki,
Ten, czy tamten imć pan ...ski.
I powiadam, panie, dalej — —

M a r c h o ł t.

Jakto?... jeszcze?!

P i e r w s z y m i n i s t e r p a ń s t w a.

Królu, jeszcze!
Bo mam dreszcze
O twój los,
Bo się trwożę,
By, broń Boże!
Nie chwyciło cię w swe kleszcze
Niespodziane snać nieszczęście,
Co swe pięście
Zawsze podnieść jest gotowe
Na królewską nawet głowę,
Gdy ta głowa, tak nam słodka,
Tak nam luba,
Tak nam cenna,
Zapomniawszy, że ją zguba
Czekać może,
Że jej włos
Nie jest znowu tak zbyt trwały —
Wszakże ninie
Dowód masz na mej łysinie,
I mnie włosy wyleciały —
Czasem też zaniedbać raczy
Koniecznego, mówię, środka,
Co pospólstwo — to jest lud —
Trzyma zawsze na postronku...
Pilnuj, głowo, swego lenna,
Abyś kiedy, bez czupryny,
Nie uczuła, że jest chłód
I że bywa źle stać w słonku — —

M a r c h o ł t.

Panie pierwszy nasz ministrze — —
Cierpliwości
Mamy dość!...

Pierwszy minister państwa.

Jestem, królu, niby kość
Z ministerskich, mówię, kości,
Mam zamiary, jak najczystsze
I niczego się nie boję — — —
Dźwigać będą jarzmo twoje
Jako osły, jako muły —
Będziesz dla nich pan jedyny,
Władca mądry i głęboki,
Gdy zobaczą, że ich czyny,
Ich postępki, wszełkie kroki
Notuje się, wpisuje się,
Że to nie są w dzikim lesie
Bezimienne jakieś drzewa,
O których li ptaszek śpiewa,
Jak wypadnie,
Równie dziki,
Lecz że znają ich dokładnie
Kancelaryj naczelniki,
Że papieru
Mamy dosyć, aby, królu,
Najmniejszemu nawet zeru
W tem tu gnieździe, w tym tu ulu
Znaleść miejsce na papierze —
I że papier wszystkim szczerze
Przepisuje drogi, ścieżki,
Wzgórza, brzeżki,
Granki, perci
Od narodzin, aż do śmierci!
Zresztą pośród prostych ludzi
Papier zawsze trwogę budzi —
A człek pewien swego dachu,
Gdy posieje nieco strachu...
Pisać my je będziem święcie
One akta, matrykuły,
Fascykuły,
Górę będziem kłaść na górę,
Ty kładź na nie swe pieczęcie,
Swoją świętą sygnaturę,

A nie będzie tron twój z cisu
Ani z świerku! Oto właśnie
Do podpisu!...

Marchołt.

A niechże was piorun trzaśnie!
Wyprowadzić mi tych panów!...

Pierwszy minister państwa.

O zastanów się, zastanów!...
Czy to baśnie? Czy nie baśnie?
Oświeć-że mnie, święta Świeco!
Wyprowadź mnie z tych czeluści
Obłąkania!
Rozum się mój chyli, słania —
Zdrowy bowiem nie przypuści,
Iżby mogło być co nieco
Prawdy w słowach pana króla...
Tyle bolu! Tyle bolu!...

Marchołt.

Słyszysz pan, jak wiater hula?
Gadaj pan do wiatru w polu...
Zaraz cię tu uspokoją!
Brać ich, mówię!... Oto oni,
Co was dotąd... Nie słuchacie?...

Głos z ludu.

Majestacie!
Mamy także wolę swoją —
Chcemy słuchać, jak się broni
Pan minister, bólem tknięty!
Na to przecież parlamenty,
Na to sejmy!... My na sejmie!
Nikt nam prawa nie odejmie —
Gadaj wasan! —

Pierwszy minister państwa.

Gadam... Panie!
Nowe twoje panowanie
Niechże nam się wielce darzy,
Jeno nie depc dygnitarzy,
Którzy, panie, w pełnej trudu
Służbie ludu
Posiwiali...
Mówiąc dalej,
Każdy przyzna,
Że siwizna
To jest blizna,
Którą ostrzem swojej stali
Zadaje nam cna ojczyzna,
Tak! nam, wiernym sługom swym!
I w tem właśnie jest nasz prym!...

Marchołt.

Ten wasz prym, to mój dym!

Pierwszy minister państwa.

Nie drwij, królu, z naszej blizny!...

Głos z ludu.

Miej szacunek dla siwizny!
Patryarchy i proroki
I niektóre apostoły
Siwe były, jak gołębie...

Marchołt.

Szacunek-ci mam głęboki,
Przeobfity,
Całkiem goły,
Nie obwijam go w bawełnę,
Gdy przed sobą, że tak powiem,
Widzę ciało,
Które zdrowe pozostało —
Ciało Rzeczypospolitej!...

Ideale drzew mych, dębie!
Nigdy w sobie nie wyziębię
Czci dla ciebie! Twe konary
To symbole mojej wiary —
Przyczem jużci też wymienię
I twój pień i twe korzenie,
Które w równej chowam cenie!
Lecz gdy rozbrat wezmą z zdrowiem,
Gdy zobaczą moje oczy,
Że je niby robak toczy,
Że są niby próchniejące,
Sam je kopnę i potrącę!
Tak! gdy ujrzę jakie skronie
W siwych włosów cnej koronie,
Ale w których rozum płonie,
Sam się schylę i pokłonię.
Zobaczywszy jednak rysę,
W której nazbyt jest widoma
Albo sieczka albo słoma,
Czuję, że na miazgę zbity
Mój szacunek! Wówczas u mnie
I samego pana Kmity
Srebrne loki
Mało ważą —
Mam je gdzieś!
Zrozumie to każdy Grześ....
Wiecie?!.. Precz mi z głupią strażą! — —

Głos z tłumu.

Król nasz mówi przerozumnie,
Lecz rozumy ważyć cudze
Rzecz nie łatwa:
I monarcha się zagmatwa
I nie wiada, za co jutro
I nas będzie miał? za futro
Drogocenne, czy za szmat?
Ja się wcale już nie łudzę,
Czy te same też rozkosze — — —

Marchołt.

Łudź się pan lub nie łudź, proszę!
Jeno serce moje pełne,
Więc i prawdy pełno w gębie!
Że te błazny, że te kpy,
Razem z swymi fascykuły,
Ze stosami swej bibuły
Wciąż wrzeszczące „świat to my!
My to świat!",
Ogłupiały was od lat — — —

Pierwszy minister państwa.

Miejże wolę, nasz sokole,
I posłuchaj: Te bibuły,
Fascykuły,
Matrykuły,
Że już więcej nie wymienię,
To są również li symbole,
Jak konary, pnie, korzenie,
Twoich dębów... Do tej chwili
Były one, jako słupy,
Jak przyciesie, jako przęsła,
By budowa się nie trzęsła,
By się gmach nie rozlazł z kupy — — —
W czem my, królu, zawinili?

Marchołt.

W niczem! W niczem!
Ale z waszem ja obliczem
Spotykać się już nie myślę — — —
A więc fora mi ze dwora!...

(Ministrowie znikają.)

Dziś nastała inna pora!
Niechaj świat się o tem dowie!
Swych heroldów we świat wyślę!
Gdzież są moi heroldowie?

(Z tłumu wysuwają się)

Heroldowie.

Tuś — ma, panie!... Tuś — ma!...

Marchołt.

Weźcie
Trąby do rąk okazałe
I na wieczną rzeczy chwałę
Po wszem siole, po wszem mieście
Wieść ponieście —
W imię mego Majestatu
Otrąbcie ją wszemu światu,
Trąbcie mocno, trąbcie zdrowo,
Niech ją świat usłyszy wszystek,
Wszelki pan i wszelki chłystek,
Wszelki pałac, wszelki młyn,
Że od dzisiaj jest inaczej,
Że od dzisiaj, za rozkazem
Mym królewskim, nic nie znaczy
Żaden papier, żaden świstek,
Tylko Słowo,
Które Czynem jest zarazem —
Słowo Czyn!...

Tłum.

Brawo! brawo!...

Marchołt.

Brawo?! Brawo?!
Precz, klakierzy!
Teatralna, śmieszna wrzawo!
Brzuch wypuczasz zbyt jaskrawo!
Schowaj-że go, bo się zderzy
Z moim brzuchem, a mój chyba
Nieco twardszy!... Nie dla tłumu
Ja to mówię! Jestem ryba
Lub zimniejszy jeszcze gad
Na to tanie szumu-drumu,
Którem przywykł ludzki świat
Swoje własne witać łajno,

Taki szczęśliw, taki rad,
Że i on też krztynę tworzy — —

Głosy z tłumu.

Król zuchwały!...
— To nie boży
Pomazaniec poniektóry!
— Z pod korony,
Z pod tej szuby,
Z pod purpury
Marchołt wylazł —
— Wyświechcony!
— Nazbyt gruby!
— Daj-no go tu!...
— Cicho!
— Milczeć!
— Daj-no! Daj-no!...

Marchołt.

Bez hałasu! bez łoskotu —
Bo tej chwili — — —
Pachołkowie!...

Głosy z tłumu.

Albo my go będziem w plecy bili,
Albo on nas pomaca po głowie! —

Marchołt.

Ja pomacam! Boście chwiejni —
Bo się na was nikt nie zeprze!
Naród ginie,
A wy tchórze, a wy świnie — —!!
Żeby świnie, żeby wieprze!
Wieprz się na coś przydać może — —
Smakowity jest w słoninie
I w kiełbasie,
A wy zasię — —
Wy jesteście — — —
Tylko kopnąć was!... Źdźbło trawy,

Całkiem zgniłej i plugawej,
Rozdeptanej na ugorze,
Nie szumiącej już na wietrze,
Warte, mówię, stokroć więcej
Od tysięcy
Tych spróchniałych waszych pniów,
Których w świata już szeleście
Nikt nie słyszy! Cicho, gnuśnie
Sypią z wnętrza swego proch —
Wróg go zdepce i rozetrze
Cichcem, chyłkiem... Bądź mi, zdrów,
Ty majaku wielkich dni — — —
Wicher boży ustał, śpi — — —
Już was burzą swą nie muśnie!
Nieopatrzny leń i śpioch!...
Ja pomacam!... Człek co żywo
Jaknajlepsze
Rzuca ziarna
W życia młyn,
Myśląc, że zeń wyjdzie mąka
Na pieczywo,
Na kęs chleba
Dla najlepszych życia gości,
A tu jakaś plewa czarna
Z waszej rodzi się chwiejności...
Ja pomacam was!... Ja sam!...
To mój będzie walny czyn!
Bo me słowo brzmi: Potrzeba
Wymieść wszelką chwiejność z domu,
Gdyż ta chwiejność to jest kłam,
Fałszu znamię,
A na kłamie
Nie udało się nikomu —
Niech, jak zechce, strzyże, goli —
Oprzeć swojej wielkiej woli...
A ja wielką wolę mam,
Chocia Marchołt, chocia cham,
Usadowić się na tronie,
Co jest Mocą, co nie stoi,

Jak na bagnie,
Co nie tonie,
Jakby jakieś trzęsawisko
Miał pod sobą!... Tron, co w swojej
Całej, iż tak rzec, posturze
Równa się kamiennej górze,
Nie tak, mówię, o, na oko,
Lecz na prawdę, to mi tron!
Wart zachodów jest-ci on,
Wart-ci, by go oblał chrzest
Naszych trudów, naszych znoi...
Kto nie pragnie
Mieć pewności, ten jest kiep —
Naukę mu zacną wrzep! —
To jest drań —
Z kołem, z drągiem, z cepem nań!...
Trza mieć pewność, że się jest,
Że się przecież na czemś siedzi —
Obojętna, czy wysoko,
Czy też nisko!
Powiedzieli mi przed chwilą
Ci panowie
Ministrowie,
Budujący na bibule
Światy swoje,
Że mój tron jest jakby z miedzi,
Żem-ci król jest ponad króle,
Ale ja się wielce boję —
Nie! ja wiem, że kłam w ich słowie,
(porusza się na tronie)
Bo — słyszycie trzask złowieszczy? —
Tron mój trzeszczy!...
Co? za bardzo się rozparłem?
Za obszerny jestem w biodrze?
Co? natura mnie zbyt szczodrze
Obdarzyła ciężarami —?
Że me uda
Są, powiedźmy, jak dwa wory,
Które wypchał ktoś ołowiem!?

Nie! obłuda!
Jušci tego ja nie powiem,
Żem jest karłem —
Sam pan krawiec się przestrasza,
Żem na miarę Fidjasza —,
Lecz to, że się tron mój chwieje,
To aż nadto jasne dzieje:
W jaki tylko spojrzę kąt,
Zewsząd ku mnie — stamtąd, stąd,
Coś wyziera, coś mnie straszy —
Mnie i was — — —

(Gubi się w sobię i mruczy śpiewający)

Hej-ci, hej-ci, hej-ci, hej!
Skacze łania z gęstych kniej,
Za nią jeleń pędzi, bieży, —
Człek nie wierzy, aż przymierzy — —
Głaz się kruszy, łamią drzewa — — —

Głosy z tłumu.

Król oszalał!... Król nasz śpiewa!...

Marchołt *(budzi się nagle z króciutkiej zadumy).*

Nie oszalał!... Poszedł w las!... — — —
Znaczy, ugrzązł w trosce waszej...
A, iżbyście nie myśleli,
Żem jest tylko od niedzieli,
Że na cudzą patrzę grzędę,
A na mojej perz się ścieli,
Ja w tę porę,
Zanim do was się zabiorę,
Niepewności się pozbędę
W własnym domu!... Tak, wyświecę
Własną żonę!...

Głosy z tłumu.

Własną żonę
Król wyświeci! —

M a r c h o ł t.

I swe dzieci!...

G ł o s y z t ł u m u.

Swoje dzieci! Swe rodzone —
Król wyświeci...! — —

— — — — — — — — — — — — —

Jan Kasprowicz.

Notatki.

„*Kölnische Zeitung*“ przed kilku dniami zamieściła obszerny artykuł, poświęcony stanowisku społeczeństwa polskiego wobec aktu z dnia 5. listopada. Artykuł ten ma bardzo duże znaczenie, gdyż nie jest zwyczajnym publicystycznym występem, lecz wypowiedzeniem się sfer bardzo miarodajnych. Trudno tutaj omawiać szczegółowo wszystkie myśli, w tym artykule zawarte, trzeba jednak zwrócić uwagę na parę ustępów, bardzo charakterystycznych.

Autor artykułu jest rozczarowany zachowaniem się społeczeństwa polskiego wobec wspomnianego aktu: zarzuca nam apatyę, trwożliwość i obojętność. Zarzuty swe zwraca nietylko ku szerokim masom społeczeństwa, lecz również z przekąsem wyraża się o działalności sfer politycznych, które prowadziły w ostatnich czasach czynną politykę na terenie Królestwa Polskiego i w imieniu Królestwa. Oto charakterystyczne słowa artykułu: „Gdzie znajdowali się ci ludzie, którzy przodowaćby chcieli i mogli temu narodowi, rzekomo tak spragnionemu wolności?! Gdzie tłumy, które iść miały za przywódcami? Nic z tego wszystkiego. Starało się wprawdzie kilku przywódców stronnictw, aby w zamieszaniu partyjnem wytworzyć grupę ożywioną wspólną myślą narodową; udawało się to zaledwie z miernym, lokalnym wynikiem“.

Żywy, bolesny zawód przebija z tych słów, nic dziwnego więc, że w sposób przykry zwracają się one przeciw tym, którzy o wiele więcej obiecywali i większych rzeczy się podejmowali. Nie należałoby tej przykrości powiększać przez przypominanie jej osobom interesowanym, tembardziej, że chodzi tu już o przeszłość. Niemniej jednak w tych wydarzeniach, tak typowych dla naszych stosunków, kryje się ważna nauka dla przyszłości i dlatego też warto je omówić.

W naszem życiu politycznem, z powodu braku własnego państwa, brak było organów, mających pełne prawo do reprezentacyi narodu. To też od bardzo dawnych czasów tworzyły się improwizowane reprezentacye, częściowo w najlepszej myśli, by zastąpić brak własnego rządu, a częściowo z samej stronniczej lub dzielnicowej dążności do władzy. Zamęt, który wniosła wojna, przyczynił się jeszcze bardziej do różnych na tem tle wykroczeń. Kto dzisiaj nie przemawiał w imieniu narodu! Różne grupy partyjne w imieniu narodu wykreślały nowe granice Polski, w imieniu narodu obiecywano powstanie, w imieniu narodu przyrzekano obcym żywiołom równouprawnienie w przyszłej Polsce — słowem, wszystko w imieniu narodu. Gdy jakiś brukowy dzienniczek dyktatorskim tonem odsądza innych od czci wiary i daje niezawodne nauki całemu narodowi, to można zazdrościć mu dobrego przekonania o własnych siłach, ale ostatecznie taka działalność nie pociąga za sobą poważniejszych skutków. Gdy znów ten lub inny polityk wysyła do różnych państw memoryały o ukształtowaniu przyszłej karty europejskiej i osiada w neutralnem mieście w roli wpływowego ambasadora, to jego działalność jest nieszkodliwa, gdyż zwykle nikt nie traktuje go zanadto seryo. Ale gorzej jest, gdy grupa ludzi w imieniu społeczeństwa zaciąga zobowiązania wobec obcych, których to zobowiązań nie jest w stanie dotrzymać i gdy zdoła przekonać miarodajne sfery o tem, że może występować jako reprezentacya narodu. Wtedy już jest gorzej, a przedewszystkiem gorzej dla tych stronnictw i ludzi, którzy się podjęli pewnych ściśle określonych zadań. Nadchodzi termin płatności i zwykle kończy się bankructwem.

Niekoniecznie trzeba tu przypuszczać złą wolę ze strony tych mało uprawnionych przedstawicieli ogółu. Bardzo często winę ponosi tylko przecenianie własnych wpływów i zewnętrznych okoliczności. Działacz polityczny, zwłaszcza wtedy, gdy dopiero pod wpływem wojennego podniecenia zajął się żywszą działalnością polityczną, upaja się własnem powodzeniem, zdaje mu się, że sala wiecowa, która go oklaskuje, wyobraża cały naród, widzący w nim swojego Messyasza. Nieraz znów różne grupy polityczne chcą budować na bardzo chwiejnym fundamencie — bo na nastrojach społeczeństwa. Nastroje odgrywały wielką rolę w literaturze „Młodej Polski“, ale w polityce Polski dzisiejszej trzeba czegoś więcej. Są znowu tacy, którzy przeceniają znaczenie prasy i publicystycznej

działalności. Prasa jest bardzo potężnem narzędziem, ale nie sprawuje despotycznej władzy w społeczeństwie, które nie pójdzie ślepo tam, gdzie je chce zawieść grupa dziennikarzy. Największy zaś błąd, który popełnia się nieraz w ciągu wojny, to przecenianie wpływów rządowych i poparcia „z góry". Zawiodło się już na tem bardzo wielu działaczy.

Mniejsza zresztą o motywy, w każdym wypadku taka działalność ma fatalne skutki dla życia politycznego narodu. Nietylko dlatego, że budzi reakcyę, gdy zawiedzione nadzieje ustąpią miejsca rozczarowaniu, przedewszystkiem jednak ci reprezentanci ostatecznie czują, że swoje stanowisko zawdzięczają zewnętrznym okolicznościom, że ostatecznie wola układających się z nimi czynników może ich łatwo zepchnąć z zajmowanej pozycyi. Muszą więc być bardzo skromni w swych postulatach, redukować je tem silniej, im silniejsze jest stanowisko drugiej strony. Obniżają poziom naszych dążeń politycznych, ułatwiają akcyę, które chce osłabić wewnętrzną spójność społeczeństwa.

Przykre doświadczenia, które u nas porobili różni politycy, powinny być poważnem ostrzeżeniem dla innych działaczy. W znacznej mierze dzisiejsze działania polityczne są operacyami kredytowemi; nakładają one na jedną ze stron obowiązek spłacenia długu. Zdarza się jednak nieraz, że naród nie zechce spłacać weksli, podpisanych przez jego lekkomyślnych synów.

*
* *

Cytowany poprzednio artykuł zawiera także krótką charakterystykę naszego narodu. Według niej jesteśmy „narodem pełnym temperamentu, ale politycznie niedojrzałym". Pierwsza część tego określenia mówi nie wiele, bo ostatecznie niewiadomo dokładnie, co autor rozumie przez temperament w znaczeniu politycznem. Natomiast błędnym jest sąd, odmawiający nam politycznej dojrzałości. Za takim sądem idą bardzo dalekie wnioski praktyczne. Naród niedojrzały politycznie nie może sam się rządzić, nie można mu dać pełnej władzy do rąk, bo jej nadużyje. Trzeba nim rządzić, a w najlepszym razie pod troskliwym dozorem wychowywać stopniowo i przygotowywać do przyszłego samodzielnego życia.

Spór o te rzeczy jest trudny, gdyż niema ustalonych zasad, na podstawie których osądza się dojrzałość narodów. W każdym

razie dążenie do uzyskania własnego rządu nie jest dowodem politycznej niedojrzałości — a ten jeden tylko pozytywny moment przytacza wspomniany artykuł na poparcie swoich wywodów. Znajomość dziejów powinna w każdym razie nauczyć ostrożnego operowania zarzutem niedojrzałości politycznej. Wiele narodów odsądzano od niej, odmawiano jej w wewnętrznych stosunkach wszystkim niemal warstwom społecznym, a mimo to utrzymały się przy życiu i rozwinęły rzekomo niedojrzałe narody, nabyły kultury politycznej warstwy, odsuwane długo od władzy. Historya nie zna jakiejś nielicznej grupy przodujących narodów, w porównaniu z którymi wszystkie inne byłyby pozbawione zdolności do samodzielnego rozwoju swych sił państwowych i społecznych.

Ponadto obracamy się tu w błędnym kole. Odmawia się jakiemuś narodowi prawa do pełnego natychmiastowego życia państwowego dlatego, że ten naród jest politycznie niedojrzałym. Choćby jednak tak było, to ten naród tylko przez własne życie państwowe może zdobyć potrzebną dla siebie dojrzałość. A zaś rozciągnięcie kurateli nad narodem, który naprawdę chce stworzyć całe własne życie, nie jest najlepszą metodą dla rozwinięcia prawidłowych stosunków między narodami. W tej dziedzinie można się czegoś nauczyć tylko przez własne doświadczenie. Choćby się na ziemi jakiegoś narodu wprawiło w ruch najsprawniejszą obcą machiną państwową, to ów naród ani nie nabierze do niej zapału, ani też nie dojrzeje dla własnego życia w przyszłości. Prawda, że naród, który odwykł od własnego życia państwowego, puszczony samopas, może popełniać błędy. Ale te błędy wyjść mu mogą na dobre, gdyż może z nich cenne nauki uzyskać dla siebie. A zresztą czy jest jaki naród, który błędów nie popełniał i nie popełnia? Zdaje się, że i najdojrzalsze narody nie są wolne od wielkich nawet błędów. *Medice cura te ipsum!*

Gdy zaś z dziedziny teoretycznych rozważań zejdziemy na grunt dzisiejszej rzeczywistości, to zauważymy łatwo, że w dobie obecnej, gdy uzyskują własny byt państwowy narody pozbawione historycznych tradycyi i silnej państwowej organizacyi w przeszłości, mało rozwinięte pod względem społeczno-klasowym, ubogie w kulturę duchową i materyalną — w tej dobie trudno przypuścić, by nas specyalnie mógł dotknąć zarzut niedojrzałości politycznej. Zgodzić się możemy na to, że brak nam nieraz wyrobienia politycznego, że brak nam tego, co możnaby nazwać techniką

życia państwowego. Jest to brak zupełnie zrozumiały, który ustąpi z chwilą, gdy zmienią się warunki życia państwowego. Natomiast wiele jest dowodów na to, że zasługujemy na nazwę dojrzałego politycznie narodu. Możnaby je znaleść w różnych epokach naszej niemal tysiącletniej przeszłości państwowej, w czasach odrodzenia politycznego z końcem XVIII. wieku, w próbach uzyskania niepodległości przez wiek XIX., w ciężkiej i wytrwałej pracy społecznej w ostatnich kilkudziesięciu latach, która zachowała nasz byt i spotęgowała poczucie odrębności narodowej. A kto wie, czy wbrew zdaniom bardzo wielu polityków, obcych i naszych, zachowania się naszego w obecnej wojnie nie poczyta kiedyś historya za jeden z dowodów naszej dojrzałości. Może poskąpi uznania dla naszego temperamentu, a optymistyczniej oceni naszą dojrzałość.

* * *

W grudniowym numerze „*Przeglądu Powszechnego*“, pomieścił redaktor tego miesięcznika O. Pawelski T. J. artykuł pod tytułem „Biały papież, czy biały car“. Autor ostrzega w nim przed bardzo wielkiem niebezpieczeństwem, grożącem naszemu narodowi ze strony pewnych nieokreślonych bliżej jednostek, które wywędrowały wraz z armią rosyjską do Rosyi i tam czynią zabiegi, „by Kościół katolicki w Polsce zamienić na Kościół narodowy“.

Artykuł O. Pawelskiego wzbudził w naszem społeczeństwie dość duże zaniepokojenie. Najpierw odezwały się „*Wiadomości Archidyecezyalne Warszawskie*“, w których ks. Kazimierz Tomczak bardzo energicznie wystąpił przeciw insynuacyom „*Przeglądu Powszechnego*“; wyraził on poważne wątpliwości co do autentyczności informacyi O. Pawelskiego, wychodząc z założenia, że gdyby naprawdę wśród społeczeństwa polskiego, które wraz z Rosyanami opuściło Królestwo, ujawniły się podobne plany, to wszyscybyśmy już o nich coś wiedzieli, tymczasem nikt o tem dotąd nic nie słyszał, a tylko redakcya „*Przeglądu Powszechnego*“ posiada „z wielu stron nadbiegłe wieści“ o grożącem nam niebezpieczeństwie.

W Krakowie ten wspomniany artykuł wywołał poruszenie. Oto grono osób z pośród duchowieństwa, ziemiaństwa i sfer uniwersyteckich ogłosiło w „*Głosie Narodu*“ list otwarty do redakcyi „*Przeglądu Powszechnego*“ z prośbą o bliższe wyjaśnienia. Zajęto tu zupełnie inne stanowisko niż w Warszawie; autorowie listu nie

pozwalają sobie powątpiewać o autentyczności informacyi O. Pawelskiego, owszem są przekonani, że skoro na alarm uderzył, musiał mieć poważne po temu dane; zgadzają się też zupełnie z uczonym redaktorem „*Przeglądu*“ na to, że takim zakusom przeciw jedności Kościoła należy się jak najenergiczniej przeciwstawić. Zastrzegają się tylko przeciw ogólnikowej i nieokreślonej formie, w jakiej zarzut został postawiony, obawiając się, że może on wyrządzić krzywdę osobnikom zupełnie niewinnym, a nawet rzucić podejrzenie na duży odłam naszego społeczeństwa, który o oderwaniu się od Kościoła wcale nie myśli. Podpisani pod listem dodają od siebie myśl bardzo słuszną, a mianowicie, że należałoby zwalczać projekta schizmy kościelnej wszędzie, gdzie się one przejawiają: mają oni tu niewątpliwie na myśli niedwuznaczne sympatye do Kościoła narodowego w Ameryce, zaznaczone przez p. Artura Walentego Hausnera w wydanej nakładem N. K. N. publikacyi: „Emigracya Polska w Ameryce w czasie wielkiej wojny“ (Kraków 1916, str. 33). W publikacyi tej p. Hausner, który jako delegat N. K. N. udał się do Ameryki, skromnie insynuuje, że narodowy Kościół z ks. Hodurem na czele między innemi i jego agitacyi zawdzięcza swój wzrost w ostatnich czasach.

List kończy się prośbą, aby redakcya „*Przeglądu Powszechnego*“, która jedna jak dotąd ma wiadomości o schyzmatyckich projektach, powstałych wśród naszych uchodźców w Rosyi, zechciała nam powiedzieć wszystko, co w tej sprawie jest jej wiadomem. W istocie winna ona ujawnić nam nazwiska winowajców i rozmiary przedsięwziętej akcyi; musi ona być poważna, skoro jest już mowa o „planach i wysiłkach, o artykułach po pismach i konszachtach z rządem rosyjskim“.

Nie wątpimy, że „*Przegląd Powszechny*“ wkrótce pospieszy z odpowiedzią. Wszyscy, którym leży na sercu ta tak ważna sprawa, będą jej wyczekiwać z niecierpliwością.

Sprawozdania.

Bank Związku Spółek zarobkowych w Poznaniu.

Leży przed nami sprawozdanie tej poważnej polskiej instytucyi za rok 1916. Sprawozdanie powyższe wykazuje potężny rozwój banku, opartego na około 229 polskich spółkach, które w 75% są jego akcyonaryuszami. W czasie wojny bank z powodu wielkiego napływu oszczędności uchwalił podnieść kapitał akcyjny z 6 milionów na 15 milionów, ustanawiając 3-letni okres subskrypcyjny do końca roku 1918. Rzeczywistość jednak przeszła nadzieje banku, albowiem w ciągu jednego roku subskrypcya wyniosła przeszło 10 milionów, a prawie 7 milionów na nowe akcye złożono już w gotówce.

Ta łatwość powiększenia kapitału akcyjnego jest wynikiem wielkiego poczucia obowiązku społeczeństwa wobec pożytecznej instytucyi, która nigdy nie płaciła wyższej dywidendy jak 6%, w latach wojny nawet tylko 5% i 4%, powracając do 6% dywidendy w tym roku, już po subskrypcyi.

Nadzwyczajny przyrost w czasie wojny wykazują wkładki na oszczędność, które z 45 milionów w roku 1914 wzrosły do przeszło 112 milionów. Z tej kwoty przypada na spółki 71 a na osoby prywatne 41 milionów marek. Natomiast długi spółek spadły do kwoty 2,625.000. a więc przeciętnie na jedną spółkę wynoszą około 12.000. Jeśli stwierdzimy, że spółki w zaborze pruskim korzystają z kredytu tylko w swoim banku, to stan ich długów jest tak mały, że gdyby ani jedna z nich długów swych nie spłaciła, bank ledwieby tę stratę odczuł; nie ma jednak o to obawy, gdyż wypłacą one swe zobowiązania do feniga. W porównaniu z tym stanem, jak smutno przedstawiają się nasze kooperatywy, których zadłużenie w różnych bankach wynosi około 80 milionów, nie licząc wcale spółek, które do polskiego Związku nie należą. Nawet nasze, tak dobrze prowadzone Raiffeisenki wykazują znacznie wyższe zadłużenie, bo przekraczające w roku 1912 kwotę 6 milionów.

Kapitał obrotowy banku wynosi przeszło 129 milionów, z których tylko 50 milionów ulokowanych jest w pożyczkach, reszta leży w różnych instytucyach pieniężnych w oczekiwaniu na zwrot pieniędzy tym, którzy po wojnie przystąpią do odbudowy częściwo zlikwidowanych gospodarstw.

Brutto zysk banku przedstawia się również bardzo korzystnie, gdyż wynosi 1·17% kapitału obrotowego, z czego wynika, że bank nie zarabia więcej na pożyczkach, jak 1 do 1½%, jest więc dla swej klienteli bardzo tani. Tak małym zyskiem może się bank jedynie tylko dlatego zadowolić, ponieważ ma bardzo

małe koszta administracyi i bardzo małe straty na kredytach. Koszta administracyi nie wynoszą nawet razem z podatkami 0·30%, a razem z dużymi odpisam dochodzą zaledwie do 0·58% sumy bilansowej.

Dla nas tak niskie koszta są niedostępne, gdyż nasze straty tylko wynoszą mniej więcej ½%. Bank o obrocie 818 milionów posiada w bilansie tytułem kosztów prawnych M. 50, co najlepiej świadczy o wartości jego aktywów.

Znakomity rezultat gospodarki banku jest równocześnie świadectwem gospodarczej dojrzałości spółek, na których się opiera, a zawdzięcza go trzymaniu się pewnych zasad ekonomicznych, które tam zyskały pełne obywatelstwo, pod czas gdy u nas musimy o nie kruszyć kopie i to często bezskutecznie. U nich praca publiczna opiera się na samopomocy a pieniądze pożycza się tym, którzy używają kredytu na cele wytwórcze i dają pewność zwrotu, u nas pieniądze pożyczone idą często na pokrycie niedoborów gospodarczych, wskutek czego i zwrot ich jest niepewny, a my, jako szafarze obcego grosza, za mało posiadamy poczucia odpowiedzialności, za często kierujemy się protekcyą, szukając jej w ciężkich chwilach potem dla siebie. Wynik 31-letniej pracy naszych braci z pod zaboru pruskiego powinien nas zachęcić do naśladownictwa ich sposobu pojmowania obowiązków obywatelskich, a to tem bardziej, że uzyskanie niezawisłośc ekonomicznej ma nadzwyczaj doniosłe znaczenie dla każdego narodu, jak to w obecnej dobie dokładnie odczuwamy. *E. S.*

* *

Semkowicz Władysław. *Przysięga na słońce;* studyum porównawcze prawnoetnologiczne. (Odbitka z „Księgi pamiątkowej ku czci Orzechowicza"). Kraków 1916. Skład główny w księgarni G. Gebethnera i Sp. 8-ka, kt. nlb. 1 str, 47, kt. nlb. 1.

Profesor krakowski, którego nazwisko nie obce jest nie od dzisiaj etnografii polskiej, postanowił w pracy omawianej poddać zbadaniu szczególny rodzaj dawnej przysięgi, polegającej na tem, że przysięgający wzywał interwencyi słońca, względnie bóstwa słonecznego, a składał ją najczęściej z twarzą zwróconą i z palcami wytkniętymi ku słońcu lub ku wschodowi.

Pracę swoją podzielił na dwie części. W pierwszej podał nazdzwyczaj sumiennie zestawiony przegląd materyału do przysięgi na słońce. Obrawszy za punkt wyjścia Polskę, postępuje kolejno od ludu do ludu i to od bliższego nam pochodzeniem do coraz dalszych, szukając wszędzie śladów przysięgi na słońce badając jej formy i znaczenie w stosunkach do innych rodzajów przysięgi. Na przód tedy poddany został zbadaniu materyał słowiański, poczem przechodz autor do innych szczepów aryjskich: Germanów, Greko-Italów i Indo-Irańczyków, następnie zaś rozpatruje jeszcze materyał, dotyczący niektórych ludów rasy śródziemnomorskiej, zwłaszcza zaś starego pnia semickiego, kończąc badania zestawieniem, przykładowem raczej niż wyczerpującem, analogicznych przejawów u ludów innych ras, różnego pochodzenia i stopnia kultury.

Polski materyał do przysięgi na słońce jest bardzo szczupły, składa się bowiem z siedmiu zaledwie zapisek sądowych i jednego dokumentu z wieku XV. Niemniej ubogi jest polski materyał folklorystyczny. Ślad przysięgi na słońce możnaby upatrywać w bardzo powszechnem przysięganiu się: „jak słonko na nie

bie". Ponadto panuje wśród ludu zwyczaj, że sprzedający bydlę obraca się przeciw słońcu trzy razy i dopiero potem oddaje bydlę kupującemu. W zwyczaju tym tkwi zapewne myśl utwierdzenia umowy przez powołanie na świadectwo słońca

Średniowieczne czeskie źródła prawne przechowały przysięgę na słońce z XIV. wieku, skąd dostała się ona do ustawodawstwa czeskiego, uzyskując sankcyę prawną w szeregu statutów ziemskich z XV. i XVI. wieku. Przyczyna stopniowego rozszerzania się przysięgi na coraz to szersze warstwy społeczne w Czechach leży w tej okoliczności, iż przysięga na słońce, jako pogański zwyczaj prawny, była zakorzeniona pierwotnie pośród szerokich mas ludowych, które w życiu codziennem posługiwały się nią powszechnie. Gdy z tych mas ludowych wyłoniły się z czasem wyższe warstwy społeczne. starały się ten zwyczaj prawny zastrzedz wyłącznie dla siebie, ażeby wyróżnić się tem od warstw niższych. Gdy jednak przysięga na słońce nie dała się wydrzeć ze swego podłoża ludowego i była nadal stosowana przez szerokie wartwy ludności, ustawodawstwo w swojej bezsilności wobez rozpowszechnionego zwyczaju, było zmuszone dopuszczać siłą faktu coraz to szersze warstwy do udziału w tym zwyczaju prawnym.

Nieco odmienny kształt niż w Czechach właściwych, uzyskała przysięga na słońce na Morawach, tem ciekawszy, że wykazuje wybitne analogie z istotą tej przysięgi w Polsce. Przysięga na słońce miała nadto zastosowanie w czesko-morawskim procesie granicznym, który to zwyczaj utrzymał się aż do połowy XVII. wieku. A i na Śląsku spotykamy się z nią.

Ślady istnienia na Rusi dawnej przysięgi na słońce występują w dawnych źródłach i w folklorze wcale wyraźnie. Za taki ślad pogańskiej przysięgi na bóstwo słoneczne uważa autor najdawniejszą chrześcijańską przysięgę na Rusi, składaną w cerkwi św. Eliasza, w którego kult przeszedł kult starożytny Heliosa. Dalej ruska przysięga na kolce kościelne jest śladem dawnej przysięgi na słońce. Liczne wreszcie reminiscencye przysięgi na słońce przechowały się w ludowych zaklęciach ruskich. W słowiańszczyźnie południowej brak śladów istnienia przysięgi na słońce. Jedynie w Bułgaryi do dzisiaj osoby, zawierające związek pobratymstwa, umacniają go przysięgą, składaną ku wschodowi słońca.

Okazuje się stąd, że przysięga na słońce była pierwotnie wspólna wszystkim ludom słowiańskim. Wyszedlszy z czasem zupełnie z użycia, pozostawiła, jak tyle innych przeżytków, żywe reminiscencye w folklorze słowiańskim. Przytoczony materyał ludoznawczy, jakkolwiek tu raczej dorywczo i przykładowo, niż systematycznie zebrany, potwierdził w zupełności wnioski, wysnute na podstawie dawnych pomników prawa zwyczajowego. Oba te źródła pozwalają uznać przysięgę na słońce za prasłowiański zwyczaj prawny, tkwiący głęboko w dziedzinie wierzeń religijnych, pozostający niewątpliwie w związku z przemożnym niegdyś u Słowian kultem słońca. Nasze badania w zakresie mitologii i wierzeń słowiańskich ustaliły pogląd, że kult słońca — ognia odgrywał pierwotnie u Słowian rolę bardzo wybitną. To też prof. Semkowicz przypuszcza, że nazwa „Dadźbog", u Słowian południowych „Dabog", pozostaje w związku z zaklęciem na słońce. Po dziś dzień roty przysiąg południowo-słowiańskich zaczynają się inwokacyą: „da Bog". Stąd wnosi prof. Semkowicz, że pierwotna nazwa słowiańskiego boga-słońca brzmiała właśnie „Bog", a forma „Dadź Bog" utarła się głównie za pośrednictwem często na ustach pierwotnie będącego zaklęcia, stosowanego także przy przysiędze na słońce.

W porównaniu z przysięgą na słońce u Słowian, a w szczególności w Polsce i w Czechach, wykazuje rozwój niemieckiej pewne różnice. Mianowicie nie osiągnęła ona tam charakteru klasowego, nie została przysięgą prawa rycerskiego, lecz była udziałem ogółu społeczeństwa, zachowując swój pierwotny ludowy charakter. Przywiedziony przez autora materyał wystarcza do stwierdzenia, że przysięga na słońce w świecie germańskim była znana i rozpowszechniona, a ślady jej, wyprzedzając znacznie pierwsze jej przejawy u Słowian, sięgają jeszcze w czasy głębokiego pogaństwa.

W Grecyi Helios, u Rzymian zaś Apolio byli bóstwami *par excellence* przysiężnymi. Dodać do tego należy, że z Aryów europejskich Albańczycy dotąd przysięgają między innemi, „na oko słońca“.

Przechodzimy do Aryów azyatyckich. Z pomiędzy nich u starych Persów był Mitra, według Awesty bóg słońca, bogiem przysięgi. Tak samo u Chetytów bóg słońca był bogiem przysięgi, a u Babilończyków Szamasz. U Żydów przysięga na słońce występuje dopiero w wiekach średnich — i to w Polsce. Także Turcy posługiwali się w dawnych czasach przysięgą na słońce. Co się tyczy wreszcie ludów pierwotnych — spotykamy bardzo pierwotne przysięgi na słońce u Tunguzów i Jakutów, u Mhairów i Pufajów w Indyach. Posługują się nią nadto Syngalezi, malajscy Dajakowie i ludy, zamieszkujące wyspy Oceanu Spokojnego. Słońca wzywają także na świadka przysięgi niektóre szczepy Indyan północnoamerykańskich.

Wynik rozważań sumiennych prof. Semkowicza daje streścić się w tem, że przysięga na słońce jest zjawiskiem powszechnem, które, chociaż występuje w rozmaitych formach, daje się stwierdzić u wielu ludów dawniejszych i współczesnych, stojących na niskich szczeblach kultury, w formie zaś przeżytkowej jeszcze w okresach wyższego rozwoju cywilizacyjnego. Czem jednak wyjaśnić fakt tej zgodności zwyczaju u różnych ludów, odległych od siebie pod względem przestrzeni czasu i miejsca? Ta zgodność zjawisk etnologicznych może mieć różne przyczyny, które dadzą się sprowadzić do czterech głównych. Przedewszystkiem może mieć ona źródło w przypadkowości, lecz tu z góry trzeba ją wyłączyć, gdyż niepodobna przypuścić, by identyczne lub przynajmniej analogiczne zjawisko zaistniało w całym szeregu środowisk ludzkich bez współdziałania jakichś naturalnych i głębiej sięgających przyczyn. Nie może też tu być mowy o „pierwotnem“ pokrewieństwie tych zgodnych zjawisk w tem rozumieniu, że przyczyną ich jest genetyczny rozwój ludów z jednego praszczepu. Takie bowiem rozwiązanie kwestyi nie wyjaśnia jeszcze genezy samego zjawiska wobec rozpowszechnienia jego u ludów rasowo od siebie bardzo nieraz odległych. Ten wzgląd wyłącza także możliwość przeszczepienia zwyczaju od jednego szczepu do drugiego.

Wobec tego trzeba szukać wyjaśnienia stwierdzonej zgodności tylko w identyczności przyczyn, które wywołały dane zjawisko, oraz w analogii warunków, wśród jakich ono rozwijało się. Stare prawo logiczne, że te same przyczyny wywołują jednakie skutki i że te same warunki oddziaływują przy równej dyspozycyi w jednaki sposób, tłómaczy nam zgodność całego szeregu zjawisk historycznych, kulturalnych i językowych, których ani wspólnem pochodzeniem ludów, ani wzajemnym wpływem i przejęciem ich od innych ludów wyjaśnić nie można.

i Na tej drodze prawoznawstwo etnologiczne stara się wyświetlić genezę rozwój całego szeregu instytucyi prawa pierwotnego, a między innemi i genezę

przysięgi. Jak wszystkie stosunki życia człowieka pierwotnego, tak też początki przysięgi tkwią głęboko w sferze wierzeń religijnych i sięgają jeszcze epoki preanimistycznej, epoki wiary w potęgę czasów, przy pomocy których człowiek umie wywierać wpływ na siły przyrody i na inne istoty, umie zmusić je do uległości swej woli. W owem pierwiastkowem stadyum rozwoju jest przysięga jedną z praktyk czarowniczych. Przysięgający odpowiedniem zaklęciem słońca ściąga na się jego zgubne działanie w razie niedotrzymania obietnicy. Zaklęciu przysiężnemu towarzyszy zwykle jakiś gest lub inny obrzęd, najczęściej dotknięcie zaklętego elementu. Na tle tych pojęć przysięga na słońce przedstawia się jako jeden ze sposobów zabezpieczenia poczynionych obietnic przy współdziałaniu zaklętej siły słońca.

Dopełnieniem i wzmocnieniem magicznej siły zaklęcia słownego jest dotknięcie przedmiotu, na który się zamierza oddziałać zaklęciem. To też przysięgający wyciągał palce ku słońcu, co w pojęciu człowieka pierwotnego było dotknięciem fizycznem, ileże nie zdawał sobie sprawy z odległości niebieskich i ulegał złudzeniu ich bezpośredniej bliskości. Dotknięcie emblemu słonecznego ma równorzędne znaczenie z dotknięciem słońca samego i w tym względzie można zauważyć zgodność w zwyczajach wielu ludów. Z czasem dojrzewająca wyobraźnia ludzka zapełniła świat duchami, uposażonymi siłami nadprzyrodzonemi, od których człowiek czuje się zależnym. To też zbliża się do nich już nie z rozkazem, lecz z błagalną prośbą. W miejsce zaklęcia wstępuje modlitwa, choć forma słów i rytuał zazwyczaj pozostają te same, co pierwej. W tej fazie też przysięga ma charakter sakralny i jest tylko odmianą sądu bożego. Z pośród bóstw, które człowiek powołuje na świadków i gwarantów zeznań zaprzysiężonych, najczęściej spełnia tę rolę bóstwo słońca. A że człowiek pierwotny wyobrażał sobie, iż oko słońca patrzy z góry na świat i ludzi, stąd wszystko widzi i wszystko wie, to też wzywał je na świadka. Do etycznej personifikacyi słońca przyłączyły się dawne reminiscencye o szkodliwej dla człowieka jego potędze. Skojarzenie tych wyobrażeń wytworzyło pojęcie o burzącej mocy słońca. Wszystkie etyczne przymioty bóstwa słonecznego streściły się w pojęciu słońca-sędziego, słońca-sprawiedliwości.

Ślady tych wspólnych wielu ludom pojęć odzwierciedlają się w urządzeniach i praktykach sądu. W Grecyi n. p. Helios był opiekunem sądów. Sędzia grecki sądził zwrócony twarzą ku słońcu. U Germanów sądy odbywały się pierwotnie pod gołem niebem, gdy zaś później zaczęto je odbywać pod dachem, przecież, gdy miał być wydany wyrok potępiający, sędziowie wychodzili na wolne miejsce i zwróciwszy się ku słońcu, z odkrytą głową, ogłaszali wyrok. Jak tedy autor wykazał, ewolucya myślowa była tu nader prosta i tak tłómaczy się zgodność przejawów jej u wielu ludów, tak, że niema potrzeby szukać przyczyn tej zgodności w zapożyczeniu pojęć innych ludów lub w ich pokrewieństwie etnicznem.

Tymczasem przyszło chrześcijaństwo, wnosząc nowe pojęcia religijne i etyczne oraz zasiało w cesarstwie rzymskiem wznowiony pod wpływem wschodu kult słońca. Pojęcie słońca sprawiedliwości, wykwitły na pogańskiem podłożu kultu Heliosa, zespala się teraz z ideą Chrystusową. W miejsce przysięgi na słońce i na inne pogańskie bóstwa wstępuje przysięga na krzyż — symbol Chrystusa i relikwie świętych.

Odtąd krył się kult słońca wśród ludu tylko, a wraz z nim przysięga na słońce długo jeszcze utrzymywała się, jako zwyczaj ludowy, daremnie przez Ko-

ściół karcony i tępiony. Niewątpliwie była przysięga na słońce bardziej rozpowszechniona, niżby to się na podstawie źródeł wydawać mogło. Te bowiem odzwierciedlają nam przeważnie praktykę sądową, gdzie z natury rzeczy przestrzegano przepisów prawa i procesu chrześcijańskiego. W prywatnem jednak życiu odgrywał ten zwyczaj pogański rolę nierównie rozleglejszą, czego ślady przetrwały do dzisiaj w zaklęciach ludowych. W Czechach zaś po kilku wiekach chrześcijaństwa, już u samego schyłku średniowiecza, rozgorzał ten przeżytek nowym blaskiem, przypominającym czasy pogańskiego prawieku.

Oto bujny plon, jaki przyniosła sama praca prof. Semkowicza. Wywody jego, dzięki nadzwyczajnej ostrożności we wnioskowaniu, pozostaną trwałym dorobkiem naukowym... Byłby on tem trwalszy, gdyby który z młodych etnologów zachciał zebrać systematycznie cały materyał folklorystyczny, dotyczący przysięgi na słońce. Byłoby to dla szan. autora wyczerpującej monografii największą nagrodą za trudy ogromne, włożone w nią ofiarnie.

Dr. Stanisław Zdziarski.

* * *

Ks. Jerzy Pęcherski: *Brodziński a Herder.* Kraków 1916. — Przedsięwzięcie podjęte przez kierownika seminaryum literackiego krakowskiego daje coraz pomyślniejsze wyniki. Każda z prac przynosi nie surowy materyał, ale rozwiązanie zagadnienia w sposób pełen przedmiotowości i metody. Znać w każdej rękę kierownika, który we własnych pracach dał przykład nie tylko przedmiotowości ale i ścisłości, rozwagi i dojrzałości naukowej metody. Te też seminaryum krakowskie może dziś świecić innym świadomością swego zadania.

Praca autora wymienionego w tytule stoi poziomem i dokładnością wykonanie zupełnie na równi z poprzedniemi. Może zbytecznym jest jedynie wstęp, który czyta się zajmująco, ale wartości naukowej nie przedstawia. Co nas na przykład może obchodzić, że Herder i Brodziński mieli idealne żony? Takie podobieństwa biograficzne nie wyjaśniają niczego a mają posmak anegdotyczny. Plutarchowy parallelizm miał inne cele i inaczej był wykonanym. Co się tyczy powtórzonej za Tarnowskim świętości Brodzińskiego, nie ulega ona wątpliwości mimo fraszek, znajdujących się podobno w bibliotece Zamoyskich. Nie wiem, czy autor próbował dotrzeć do nich przed próbą kanonizacyi naszego Herdera.

Natomiast następne rozdziały przynoszą doniosły dorobek naukowy. Na zależność od Herdera zwrócił już uwagę w swem interesującem studyum o Brodzińskim Arabazin. Nie jest ono jednak znanem polskim czytelnikom, nie wyczerpuje też bynajmniej przedmiotu choćby ze względu na swój charakter syntetyczny. Autor rozpatruje tedy najpierw zależność Brodzińskiego od Herdera w tem, co nazywa troską o język. Kolejno przesuwa przed nami zapożyczenie w kwestyi genezy i rozwoju mowy ludzkiej, stosunku wyrazu do myśli i twórczości poetyckiej w języku obcym, roli języka jako zwierciadła narodu, znaczenia idyotyzmów, inwersyi, strony dźwiękowej, wreszcie znaczenia języka dla narodu.

Z tem ostatniem zagadnieniem jest w związku kwestya oryginalności literatury drogą podkreślania odrębnej indywidualności narodu, wartości poezyi ludowej, tak zwanego kosmopolityzmu literackiego i teoryi estetycznych. Zwłaszcza kosmopolityzm polegający na poznawaniu, przekładaniu, naśladowaniu dzieł różnych literatów doczekał się, ze strony autora, wyczerpującego rozstrząśnięcia.

Mniej już może zadowolnić to, co znajdujemy w kwestyi teoryi estetycznych. Przedewszystkiem nie jest prawdą, by estetyka urodziła się dopiero w epoce romantyzmu. Sięga ona, jak wiadomo ogólnie, czasów Bodmera, który, pierwszy w Niemczech, zastanowił się nad rolą wyobraźni w tworzeniu. Podobne stanowisko zajął znany u nas za czasów Stanisława Augusta francuski teoretyk Dubos. Encyklopedyści rozprawiali już szeroko o roli wyobraźni, w czem szli znów za Addisonem. Ze szkoły bodmerowej wyszedł Sulzer, stanowiący źródło pojęć estetycznych Euzebiusza Słowackiego, Dubosa i jego następców. Rotteux'go i Mermontela znali i wyzyskiwali Czartoryski, Gołański, Piramowicz, Korzeniowski, którzy nie byli wcale romantykami.

Jeżeli słusznemi są uwagi o zależności pojęć estetycznych Brodzińskiego od Herdera, to choć słówkiem należało wspomnieć, że do stanowiska polskiego estetyka wobec romantyzmu przyczynił się także inny a bardzo wpływowy estetyk Boutermek. W uwagach estetycznych na temat choćby rodzajów literackich jest pełno reminiscencyi z Boutermeka, o czem piszący te słowa mówił szeroko w wykładach przed kilku laty. Nie było to wprawdzie tematem pracy autora, ale domagało się wzmianki choćby ze względu, że czytelnik mógłby wyobrażać sobie horyzont estetycznej lektury Brodzińskiego więcej rozległym. Również niewyczerpująca jest ocena wykładów historyi polskiej, które są najoryginalniejszą częścią twórczości Brodzińskiego. Jeżeli wspomina się o wpływie pani de Staël, Villemanna, Guizota, należało rozwinąć tę wzmiankę i wykazać, że wymienieni pisarze byli też herderystami i że ich wskazania były też poparciem herderyzmu polskiego historyka literatury. A Brodziński uważał się raczej za historyka, jak wskazuje jego własne wyznanie w ogłoszonej przez Arabazina autobiografii.

Uwagami o pedagogice i ideałach humanitarno-społecznych niemieckiego i polskiego historyka zamyka się praca autora. Godzę się na nie w zupełności, nie mogę przyjąć jedynie w pełni zakończenia. Jeżeli prawdą jest, że mniemanie o oryginalności Brodzińskiego wobec wykazanej jego zależności od Herdera ostać się nie może, nie mniej prawdą jest, że jego zasługi, jako historyka literatury czynią jego stanowisko w dziejach krytyki wyższem nad to, któremu mu naznaczył autor. Tam nie był on jedynie herderystą, tam kierował się bezstronnością, zdrowym instynktem, szerokim poglądem, którego brakowało nawet Mickiewiczowi w Collège de France. A jego wpływ na Grabowskiego, Wójcickiego, Tyszyńskiego? Jest on nieobliczonym i nierozważanym dotąd wcale. Polemika z romantyzmem nie miała jedyoie podstawy w herderyzmie, ona miała korzenie w dużej kulturze filozoficznej i literackiej Brodzińskiego, który, obok Mochnackiego, jest najbardziej najbardziej wplywową osobistością krytyczną w epoce potężnego przełomu od pseudoklasycyzmu do romantyzmu. Jest w nim jądro metody, którą szczyciły się dopiero lata powrotu od spekulacyi do wiedzy pozytywnej i poddającej rewizyi wiele apriorycznych orzeczeń romantyzmu. *T. Gr.*